BRONISŁAWA WŁODKÓWNA

PROSTE DZIEJE

WSPOMNIENIA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE.
1913

Jestem sama.

Wszyscy moi odeszli: jedni pomarli, inni daleko, własnem życiem zajęci, zapomnieli o mnie. Zostałam jedyna pod dachem rodzinnego domu. Pora i mnie w drogę: nie mam prawie czem oddychać, głowa ciąży, sił brak, a jednak żal mi odchodzić, jeszczebym rada nacieszyć się widokiem kątów drogich, jeszczebym rada w ciszy i skupieniu rozpamiętywać przebieżony szmat życia. Tu, w tych murach, przenikniętych, zda się, dźwiękiem głosów kochanych, na tych ścieżkach ogrodu, deptanych kochanemi stopami, wśród drzew i krzewów, których dotykały dłonie najbliższych, tu, gdzie oni wciąż trwają, niby żywi, przed memi oczyma, pragnęłabym jeszcze spędzić wiele, wiele lat na wspominaniu rzeczy radosnych i smutnych, wielkich i drobnych, a zawsze pięknych, bo blizkich, bo sercem kochającem odczutych.

Pożegnani, opłakani, a jednak pełne ich moje życie. Siedzę na skraju ogrodu, na ulubionem miejscu pod lipą, patrzę na szereg pootwieranych okien

domu i wiem, że w pokojach nikt się nie ruszy, że ze schodów werandy nikt ku niej nie zejdzie, wiem to, a czuję inaczej. Dla mnie dom zawsze ludny i gwarny, za firankami snują się znajome postacie, szmer znajomych głosów drga w powietrzu.

Poruszyły się liliowe grona glicynii nad oknem pokoju mamy, serce me przenika radosne oczekiwanie. Rozchylą się białe firanki i uśmiechnie się ku mnie twarz okrągła, różowa, trochę dziecinna, spojrzą dobre, szare oczy mamy. Duszę opłynie jasność i zostanie długo, długo.

Skrzypnęły drzwi na werandę. Idzie ojciec, zamyślony, jak zwykle, o swych chorych, ze spuszczoną głową. Prawą ręką odgarnął połę surduta i zanurzył w kieszeni — idzie szybko. Zmęczył się pisaniem i dla odpoczynku wyszedł do ogrodu, a myśl, nawykła do pracy, biegnie ku chorym. Idzie, idzie, jest już blizko i nagle staje; poczuł raczej mą obecność, niż ją dojrzał. Chwilę patrzy oczyma jeszcze dalekiemi, lecz wnet te piękne, piwne oczy napełniają się tkliwą troską:

— Jakże ci? — pyta żywo.

— Dziękuję, ciągle tak samo.

— Miejmy nadzieję, że będzie lepiej.

Odszedł i już zanurzył się w dumaniu, lecz wiem, że przez chwilę był całem sercem, wszystkiemi myślami przy mnie, że przez tę minutę, gdy

stał przede mną, należał bezwzględnie do mnie, najwyższem napięciem miłości ojcowskiej troskał się o moje zdrowie; w tej chwili tylko ja istniałam dla niego na świecie.

Odszedł, a ja zostaję wzruszona do głębi duszy tem tkliwem przygarnięciem mej wątłej istoty przez człowieka silnego i kochającego.

Glicynia nad oknem mamy chwiać się przestała, niczyje dłonie firanek nie rozgarnęły.

Z otwartych szeroko drzwi na werandę zionie pustka, nikt jej nie zmąci.

Sama jestem, a jednak widziałam tam oto w oknie uśmiech matczyny, słyszałam przy sobie głos ojcowski, byli ze mą przez chwilę i wrócą.

— Czyż bez nich żyć można?

Pierwsze twarze, które widywałam, pierwsze głosy, które rozpoznawałam wśród innych. Zapadły na dno serca i tam trwają, póki ono bije, są w niem, jak krew i życie, nieodłączne i niezbędne.

— Oni najbliżsi z ludzi, — dom najbliższy zakątek świata.

Stopy znają każdą chropowatość podłogi; dłonie, każdą wypukłość sprzętów; oczy, każdą plamkę na obiciu, każdą skazę w szybie, ilość kafli w piecu; powonienie, zapach właściwy każdemu pokojowi: lekki zaduch cygar i lekarstw w pracowni ojca, słodycz lawendy w sypialni mamy; uszy dźwięk

dzwonka przy bramie, stuk drzwi ogrodowych, skrzyp schodów na piętro.

Tak ci te pierwsze wrażenia zmysły przenikną, że choćbyś góry i doliny przewędrował, zamki i pałace całej ziemi zwiedził, wszystkie zapachy ogrodów podzwrotnikowych poznał, gwarami stolic się ogłuszył, tamtych nie zapomnisz, a napotkawszy, z nagła się wzruszysz, rozradujesz.

Trzebaby jakiejś męki ponad siły ludzkie, jakiegoś szczęścia nie z tego świata, by ci mogły całą istotę wywrócić na nice i wyrwać z niej to, co w dniach dziecięctwa wzrosło: ukochanie ojca, matki i domu. To też wszystko, co z nimi się łączy, ma znaczenie szczególne i doniosłość, jest jakiemś piętnem świętości znaczone i długo nie podlega sądowi, bo poznawane było wówczas, gdy istota znajdowała się na stopniu pierwotnego rozwoju: widziała, słyszała, chłonęła wrażenia, zatrzymywała je w pamięci, ale nie badała, nie sądziła.

Rodzice byli pierwszą opieką i pierwszą władzą. Tkliwość i trwoga pierwsza od nich szła, byli dla słabych i nieumiejętnych jako bogi i bogów dzieci w nich szukać będą, a znajdując tylko ludzi, poczują zawód i urazę i wiele padnie między nich gorzkich słów, wiele nastąpi bolesnych starć, nim przyjdzie to poczucie, że choć oni ludzie tylko, jednak najbliżsi na świecie i najbardziej kochający, szacunku i miłości godni.

Czy moja matka była piękną w młodości?

Nie wiem.

Pamiętam, że gdy chyliła się nad mem łóżeczkiem z ostatniem »dobranoc«, a na ścianie drgał cień jej głowy, rzucany wątłym blaskiem świecy, uwagę moją zwracał długi, śpiczasty klinik nosa, który starałam się uchwycić palcami, jak serce słoneczne okiennicy, gdy zbudzona rankiem, czekałam nadejścia bońci.

Raz olśniła mnie powierzchownością, lecz sądzę, że to było raczej wrażenie pięknego stroju niż urody. W ciemnych wełniakach, w skromnych perkalikach widywana co dnia, ukazała się dziecięcym oczom w bronzowej, atłasowej sukni, przybranej dżetem, oszytej koronkami, w pozłocistych pantofelkach i ażurowych białych pończochach. Rękami bońci w loki uczesana, wydała mi się piękna, jak wróżka z bajki, ale daleka i obca. Onieśmielona pospieszyłam wtulić się w spódnicę bońci i z tego bezpiecznego ukrycia patrzyłam z podziwem na wystrojoną mamę, jak perfumowała haftowaną chusteczkę, kładła białe rękawiczki; dopiero stara salopa z lisim kołnierzem i czarny szalik, osłaniający loki, oddały mi mamę na chwilę. Na króciutką chwilę, bo zaraz powóz kanonika uwiózł ją i ojca na ślub panny Maryni z plebanii. Wspominany latami przez nas, dzieci, ten ślub, kiedy mama była taka piękna i miała pozłociste buciki, nieod-

łączny odtąd strój wszystkich królowych w naszych bajkach.

Czy była inteligentna?

Nie wiem.

Czytywała niewiele, rzadko widywałam ją z dziennikiem w ręku. Pisanie listu było wielkiem wydarzeniem i niemiłem, bo wtedy zamykały się drzwi maminej sypialni, zawsze dla nas szeroko otwarte. Może nie była intelektualna, a może tylko nie miała czasu, pochłonięta krzątaniną gospodarską, obsłużeniem i pielęgnowaniem wątłego, uczonego męża i wychowaniem trojga dzieci.

Dom był duży, stary i zrujnowany, nie stało pieniędzy na odnawianie, więc trzeba było wiele pracy i starania, aby go utrzymać w porządku. Nie stało też grosza na liczną służbę: jedna służąca do wszystkiego i stary Marcin w ogrodzie i podwórku musieli wystarczyć. Bońci nie mogę liczyć do służby; choć wykonywała znaczną część pracy domowej, dla mnie zawsze była, jak blizki członek rodziny. Wydawała mi się, jakby jedno z nas, dzieci: malutka, różowa, z habrowemi oczyma, łakoma na słodycze, z równą naszej niecierpliwością i pożądliwością śledziła rękę mamy, nakładającą leguminę na talerze. Równie, jak my, bała się mamy po każdej psocie i jak my tuliła głowę w ramiona, gdy ojciec zniecierpliwiony zbyt gło-

śną zabawą, otwierał drzwi pracowni i mówił stłumionym astmą głosem:

— Uciszcie się trochę.

Równie, jak my, nie miała sił do dźwigania ciężarów i niezgrabnie ciągnęła krzesła, a dreptała wolno, jak malutka Jania. Jej drobna, zwiędła, różowa twarzyczka wśród bieli szlarek czepka podobna była do główki dziecka w poduszce. Była więc dla mnie Bońcia kochana, miła, ale trochę politowania godna.

Najwięcej uwielbienia wzbudzał we mnie ojciec. Matka była dla mnie uosobieniem dobroci, ojciec — wszelkich zalet. Gdy mi opowiadano o bohaterach poświęcenia, rozumu, siły woli, pytałam, czy byli podobni do ojca? Mama i bońcia odpowiadały zawsze twierdząco.

Ten wysoki, chudy, trochę zgarbiony, milczący człowiek miał w sobie dziwny urok głębokiego rozumu, szczerej dobroci, nieskażonej prawości, którym ciągnął ku sobie i przykuwał wszystkie serca.

— Ojciec tak powiedział — było dla nas wyrokiem przecinającym wszelkie spory.

— Ojciec się dowie — najstraszniejszą groźbą. Nigdy nas nie karał, nigdy się nie gniewał.

Myśl zasmucenia go była nawet dla najmłodszych bolesną karą. Czemże trzeba być, aby obrazić tak dobrego ojca? Zato uśmiech jego cudnie rozjaśniający ascetyczną twarz, błysk przepięknych

oczu, był szczęściem rzadkiem wprawdzie, lecz niezapomnianem. Zabawa z nim była tak upragnioną, aż onieśmielającą łaską. Mnie, dziewczynkę zawsze wątłą, nieśmiałą, nieczęsto spotykał ten zaszczyt, to też z całą wrażliwością przeczulonego serca czekałam, kogo z nas wybierze, gdy wchodził do dziecięcego pokoju z żartobliwym uśmiechem i skorą do figlów miną.

Pamiętam raz po łamańcach i kozłach ze Stefkiem, zwrócił się do mnie. Żwawo schyliłam głowę i wsunęłam złożone dłonie między rozsunięte kolana, gotowa do tak zwanej pętelki, którą z mamą robiłam doskonale. Chwycił mnie za ręce, pociągnął, przegięłam się zręcznie, lecz nagle, szarpnięta boleśnie za włosy, krzyknęłam. Postawił mię czemprędzej: to spinka jego mankieta zaplątała się w moje rozpuszczone włosy. Wyplątał ją ostrożnie, pogłaskał mnie po głowie, rzekł serdecznie, lecz pobłażliwie:

— Z dziewczętami zawsze tak — i zwrócił się do Stefka — a ja uczułam taką rozpacz, taką nienawiść do włosów, które mnie pozbawiły zabawy z ojcem, że przez kilka dni snułam się koło nożyczek bońci, z pragnieniem postrzyżyn i gdybym równie była pohopna do śmiałych czynów, jak do zamiarów, toby włosy padły były ofiarą mej miłości dla ojca.

Pochłonięty leczeniem chorych i pracą naukową,

którą gorąco miłował, zajmował się nami niewiele, a jednak, gdy zgłębiam myśli i uczucia, kierujące mem życiem, dostrzegam w nich najwięcej wpływu ojca. Nigdy też nie było między nami najmniejszego nieporozumienia. Zdawał się nie widzieć i nie spostrzegać wielu otaczających go rzeczy, a jednak widział więcej od innych i przedewszystkiem więcej rozumiał. Miało się poczucie, że w drobnych sprawach nieobecny, w ważnych zawsze zabierze głos stanowczy. Sądzę, że czysta, pogodna atmosfera naszego domu jego była przedewszystkiem dziełem. Silną astmą strącony z drogi pracy uniwersyteckiej, po której zaczął szybko dążyć w górę, do mieściny podgórskiej, wybranej ze względu na odpowiednie powietrze, do praktyki wśród ubogich żydów i ciemnych chłopów, zdala od ognisk kultury, zachował jasny pogląd na świat, miłość życia, delikatność uczuć niespowszednionych ciężką, szarą walką o chleb.

Nie wiem, czy mama go rozumiała, żywiła dlań jednak ślepe uwielbienie i umiała być niezmąconem echem.

Nie zdaję sobie sprawy, czy była między nimi miłość — to, że się kochali, stanowiło dla mnie pewnik niezbity i wchodziło w zakres uczuć, których się nie sądzi i które się wypowiada jednym tchem.

— Najwięcej kocham Pana Boga, potem Pol-

skę, rodziców, rodzeństwo, a potem wszystkich ludzi.

Słońce już kryje się za dach domu, trzeba kończyć. Za chwilę w mroku sieni zajaśnieje wysmukła postać zacnej Antosi i przyjdzie do mnie sprężystym krokiem, z daleka już śląc mi życzliwy uśmiech i codzienne:

— Słonko się chowa, pora do domu mojej pani.

Gdy podejdzie bliżej, gdy obrzuci badawczem spojrzeniem wychudzoną, kwitnącą wypiekami twarz, zmącą się na chwilę jej wesołe oczy, zmierzchnie uśmiech, a choć mi to wróży coraz bliższy koniec, dziękuję ci, Antosiu, za poczciwą troskę i szczerą, bo wnet ją pokryje żartobliwem zrzędzeniem:

— Poco się to męczy pani tem pisaniem, poco? Doktór każe unikać zmęczenia, a pani zawsze coś wynajdzie.

Wie równie dobrze, jak ja, że mnie już nic ni pomódz, ni zaszkodzić nie może, że to już koniec niechybny i rychły, lecz jej tego nie przypomnę, nie potrącę bolesnej struny. Wymówię się, że niewiele pisałam, że mi to tyle przyjemności sprawia, i pójdziemy razem ku domowi, a przez ten krótki, lecz nużący dla mnie kawałek drogi, będzie płynęła w me serce jej dobroć, wyrażająca się wolnym krokiem, troskliwem podtrzymywaniem osłabłej postaci, spojrzeniem tkliwem. Osłodzi mi cowie-

czorne pożegnanie z ogrodem, bo gdy opuszczam fotel pod lipą, ślę żegnające spojrzenie drzewom, kwiatom, ścieżkom. Wiem, że w nocy może przyjść krwotok i dokończyć mych dni.

Smutno jest myśleć o blizkiej śmierci, ale przez to silniej się odczuwa radość istnienia. Jeszcze raz wchodzę pod rodzinny dach; jeszcze raz nęci mnie przytulność saloniku; jeszcze raz pieści oczy lekki zarys palmowych liści na bieli firanek; jeszcze raz czuję miękkie podparcie poduszek fotelu, na którym sadza mnie Antosia; jeszcze raz witam wzrokiem, uśmiechem, myślą przyjazną wszystkie zakątki i wszystkie przedmioty znane i blizkie.

Jeszcze żyję i jeszcze się życiem raduję.

Męczy mnie trochę pisanie, ale snucie wspomnień tylko w myśli już mi nie wystarcza. Gdy je przeżywam w słowach pisanych, to tak prawie, jakbym gawędziła z kimś, co znał i kochał wszystkich i wszystko mnie znane i drogie. Widzę wówczas dokładniej, czuję silniej rzeczy przeszłe, a to przecież dzisiaj moje największe szczęście i dlatego, choć mnie to męczy, choć Antosia zrzędzi, pisać będę, póki sił starczy, pisać bez planu, bez innego celu nad ten, który mnie do pisania skłonił: to jest rozkoszy przeżycia raz jeszcze we wspomnieniu ziemskiego bytowania. Ciche ono było

i proste, jak cichą i prostą jest moja dusza, ale mnie się zdaje, że nie zewnętrzne wydarzenia stanowią o bogactwie i piękności życia, lecz sposób i siła jego odczucia. A ja w moim ciasnym kąciku, wśród małej garstki ludzi, wielu pięknych, wielu mocnych zaznałam uczuć. Może odziedziczyłam tę wrażliwość po ojcu, może tak mnie nauczono, a może tylko wątła, stąd od szerszego życia usunięta, musiałam w małym światku wynajdywać rzeczy radujące duszę, bo jednak rodzeństwo moje, z tych samych rodziców zrodzone, tak samo, jak ja, wychowane, wielce jest różne. Im rodzinny dom nie wystarczał, od młodości rwali się w świat, do ludzi, to też umieli sobie zdobyć wybitne stanowisko, odegrać większą, pożyteczniejszą rolę, niż ja, ze swą wrażliwością. Zdrowi bo też oni byli i świetni od dzieciństwa.

Stefek, najstarszy, ukochanie ojca, dwa lata przede mną zrodzony, jeszcze przed chorobą ojca, w czasie jego pracy uniwersyteckiej. Wysoki, tęgi, piękny chłopak, podobny do ojca z rysów, postawy, płowej czupryny, piwnych oczu; tylko jemu się te oczy ciągle błyszczały, ciągle weseliły. Żywy, popędliwy nawet, stanowczy, kierował zawsze zabawami towarzyszy; umiał ich ujarzmić siłą, zręcznością, pewnością siebie. Najlepiej z nich wdrapywał się na drzewa, największe ciężary dźwigał,

a w rozprawie, w sprzeczce, nigdy mu słów nie zbrakło.

Nieraz, gdy jego dźwięczny głos aż trząsł szybami w uniesieniu zabawy, otwierały się cicho drzwi, w progu stawał ojciec i patrzył nań bez słowa oczyma pełnemi dumy i zachwytu, a mnie wtedy przepełniała serce wdzięczność dla Stefka, że umiał tak radować tego najdroższego ojca. Potem nieraz, gdy wracał ze szkół, z politechniki, zawsze pierwszy wśród kolegów, wyróżniany, dumny i później wiele, gdy już budował mosty i koleje i gdy w rozprawach z ojcem traktował go nieco wyniośle, z lekceważeniem zbijał jego poglądy, miałam urazę do niego, ale ojciec kończył każdą rozmowę bez gniewu, przeciwnie, z pewnym odcieniem uznania:

— Tak mówisz, bo jesteś młody, zdrów i silny.

A Jania, młodsza ode mnie o lat pięć, mamina ulubienica, drobniutka, zgrabna, śliczna, ze złotymi lokami po pas, z habrowemi ślepkami, sprytna, dowcipna, śmieszka — gdzie jej było wytrzymać w starym, zrujnowanym, poważnym domu! To też ledwie ją piętnastoletnią odwieziono do stolicy na pensyę, zaraz poczęły ją koleżanki jedna przez drugą zapraszać do pałaców, do dworów wiejskich. Odtąd już Jania rzadkim gościem w domu bywała, nawet jej ślub z baronem Lintzem odbył się w stolicy. Przykro mi trochę było nie widzieć naszej

wesołki w tej uroczystej chwili, lecz ojciec i tak z trudnością zdobył się na skromną wyprawę dla niej, na odświeżenie sukni mamy, na podróż we troje do stolicy i na koszta weselne. Miał wprawdzie skrupuły, zostawiając mnie w domu, ale mu wytłomaczyłam, że moja obecność Jani więcej szczęścia nie przyniesie, a szwagra poznam, gdy do nas przyjedzie. I nie poznałam. Tak się złożyło, że w ciągłych podróżach, gdzieś hen po różnych stronach Europy, nawet na pogrzeby rodziców nie zdążyli, a potem poczciwie mnie całą po nich schedę oddawszy, już nie mieli ważnego powodu do domu przyjeżdżać.

Wśród tych dwojga pięknych, żywotnych, wesołych: Stefka i Jani, ja byłam, jak szary, powszedni dzień, wśród dni świątecznych, lub jak domowa mucha, brzęcząca w kąciku monotonną piosenkę, wśród barwnych motyli, które lecą ku słońcu i kwiatom. Nic dziwnego, że po ich odlocie dom zmroczniał i zcichł, a rodzice często mówili o samotności. Tylko, że ja tej samotności nie odczuwałam: póki ojciec i matka żyli, dom był dla mnie pełen, a gdy odeszli, zostały po nich wspomnienia i wciąż trwają i nigdy nie jestem samotna.

Prawda, że dla mnie towarzyszami są też sprzęty, drzewa, kwiaty, zwłaszcza znajome, ulubione. Zdają się mieć duszę, która czuje i myśli, choć się nie objawia. Zdarza mi się nieraz odruchowo gawędzić

z moją laską, pieścić poręcz fotela, uśmiechać się do lampy, gdy mi uśmiechem światła mroki rozprasza. To dostarcza wielu dobrych chwil w życiu, ale i wielu smutnych, bo im więcej umiłowań, tem więcej strat, rozstań, tęsknot.

Pamiętam, gdy mi Jania w gniewie złamała ulubioną skakankę z zielonego pręta, długo po niej tęskniłam i już innej nie chciałam. Zdawało mi się, że w tej zabawce była jakaś mała, swawolna duszka, zwinna i figlom ze mną rada, a choć skakanka złamana, ona gdzieś w pobliżu pozostała i czułaby żal do mnie, gdybym się inną bawiła. Zdarzyło się w kilka miesięcy później, że w słoneczny dzień wicher zatrzasnął okiennicę, a po ścianie przebiegła wąziutka smuga świetlana... byłam pewna, że to dusza skakanki ukazała mi się, aby ukoić moją tęsknotę i zaświadczyć, że pamięta o mnie.

Dziś jeszcze używam koszyczka do roboty, który dostałam, mając lat sześć. To już tak dawno, że nie wiem z przyzwyczajenia, czy jest ładny. Wówczas byłam nim zachwycona: z czerwonej słomki, wybity różową satinką, olśnił mnie barwnością. Byłam pewna, że odtąd polubię roboty ręczne; to się nie sprawdziło, ale koszyk trwa i zdobył prawa przyjaciela. Ciasny, z rozerwanym rzemykiem, z ledwie trzymającem się wieczkiem,

nie dostaje dymisyi. Wybacza mu się te braki, jak przywary wieku kochanym staruszkom.

Na dnie szafy leży spowita w prześcieradło, zabezpieczona od moli, lalka łokciowej wysokości. Złote loki staranie ułożone pod koronkowym kapturkiem, szafirowe ślepki otwierają się, gdy ją podnieść, różowa buzia ma tylko jedną rysę koło ucha, bielizna, suknia, buciki, wszystko całe, własną mą ręką ułożone. Stroiłam ją i chowałam dla córki, nie doczekałam się własnej, myślałam dać córkom Stefka lub Jani. Stefek ma samych synów, a córki Jani pewnie tyle lalek mają większych i wspanialszych od mojej, że aniby się jej ucieszyły, ani ją uszanowały, a przykro dawać w niedbałe ręce zabawkę z rąk miłych otrzymaną, traktowaną w sposób przyjazny, niemal jak żywa istota... Dostałam ją, gdy miałam lat osiem. Bawił wówczas w naszym domu stary profesor Biecki, przyjaciel ojca, i dziwna rzecz, ten człowiek trochę ponury, milczek zakuty, zaprzyjaźnił się z małą, nieśmiałą dziewczynką, która zazwyczaj od ludzi stroniąca, z nim gawędziła za pan brat, opowiadała bajki własnego wymysłu, zaczynające się zawsze od »więc«, zwierzała się z zamiarów na przyszłość: gdy będzie dorosła, wyjdzie za mąż i będzie miała samych synów takich mądrych i poważnych, jak tatuś. Profesor obmyślał z nią imiona dla chłopców, dopytywał się o dalsze ciągi bajek, które

nigdy nie miały końca, przejmował się losami ich bohaterów.

W dwa tygodnie po jego wyjeździe przyniesiono z poczty pudło drewniane, zaadresowane do mnie. Ojciec własnoręcznie, choć niezgrabnie, z zadraśnięciem palca otworzył wieko i wyjął z pośród mnóstwa bibuły lalkę w błękitnej sukni z przypiętą kartką:

»Przyjaciółce Aneczce profesor Biecki«.

Jeszcze mam tę zżółkłą kartkę wśród starych papierów.

Ojciec przez chwilę zatrzymał lalkę w ręku, czytając napis z rzewnym uśmiechem. I to, że ta lalka była w jego ręku, co chyba się nie zdarzyło żadnej innej lalce, uczyniło ją w mych oczach dostojniejszą i bardziej godną starań, których jej nigdy nie szczędziłam. Największą dla mnie zgryzotą było, gdy Jania napierała się nią bawić. Nigdy nie przyszło mi na myśl odmówić komu swej własności, więc i lalkę choć z ciężkiem sercem dawałam małej trzpiotce, ale tak jej strzegłam, tak napominałam ciągle, że oddawała mi ją znudzona:

— Weźże sobie tę swoją poświęcaną lalkę!

Przez tę troskliwość umiałam dla niej wywalczyć wśród innych zabawek wyjątkowe stanowisko, które szanowali nawet chłopcy: Stefek i jego liczni przyjaciele, często urwisy z pod ciemnej gwiazdy. Gdy się chcieli bawić poważnie w ro-

dzinę, w podróż okrętem, w króla lub w cyganów, prosili mnie o lalkę i wiedziałam, że im mogę powierzyć swój skarb ze spokojem. Brali ją ostrożnie w rękę, odzywali się do niej grzecznie i żadnemu nie przyszło na myśl potraktować ją po koleżeńsku. Raz tylko Michał burmistrza przztyknął ją w pantofel i rzekł przedrzeźniająco:

— Ty, ty kukło!

Stefek skoczył ku niemu jak pantera:

— Żebyś się nie ważył, rozumiesz! To lalka najpiękniejsza w całem mieście, zagraniczna i podarek od profesora Bieckiego, przyjaciela tatusia. Dałby ci tatuś, gdybyś ją zepsuł, no!

Odtąd lalka doznawała czci bałwochwalczej i dzięki temu udało mi się przechować ją niezniszczoną do dziś dnia.

Nieraz mam wrażenie, że przedmioty nie tylko żyją, lecz i mówią, i gdy wchodzę do pokoju, milkną nagle, rzucając sobie tylko ostrzegawcze spojrzenia, by nie zdradzić tajemnicy przed człowiekiem. Gdy siedzę sama wśród nich, to czuję się otoczona życzliwemi istotami, które milczą wprawdzie, lecz ślą mi fale przyjaźni i zrozumienia.

Tem mi bardziej obco pod cudzym dachem, gdzie każdy sprzęt spogląda na mnie badawczo, nieufnie, gdzie jestem intruzem, mącącym ich swoistą atmosferę. Najciężej mi jest w pokoju hotelowym, tam sprzęty wydają mi się wyzbyte wszel-

kiego przywiązania, względem wszystkich obce, nikim się nawet nie zajmujące. Znudzone, oschłe, bez charakteru. Myślę, że musiałabym latami mieszkać w takim pokoju, by się w nim poczuć, jak u siebie, by wytworzyć prąd porozumienia między sobą i otaczającymi sprzętami.

Zresztą takie samo uczucie mam względem ludzi, znajdujących się w przytoczonych warunkach.

Ktoś, kto ma swój dom, kto żyje w swym kącie, własnem życiem, kto wytwarza wokół siebie atmosferę silnie przenikniętą swą osobowością, bliższy mi jest, łatwiejszy do odczucia i zrozumienia.

Przeciwnie człowiek, wałęsający się po gościńcach świata, różnym wpływom podległy, rozproszony, człowiek nie promieniujący nic z siebie, człowiek bez własnej atmosfery jest mi niedostępny, nieokreślony, niemożliwy do przyswojenia.

Często jedno spojrzenie zamienione na ulicy z małą, obdartą dziewczyniną, zbliży mnie do niej bardziej, niż długie wieczory, codzienne obcowanie z człowiekiem, który siebie powymieniał na drobne całego świata.

Wiele jest na świecie takich manekinów wypchanych książkami lub co gorsza gazetami, zastępującemi im własne uczucia i myśli. Wiele takich wygasłych planet bez własnego światła i ciepła.

Ileż byłoby piękniej na świecie, jaśniej, cieplej, gdyby wszyscy byli gwiazdami.

Dziś jest niedziela, od rana brzmią dzwony, pod mojemi oknami turkoczą pojazdy, słychać gwar przechodniów, dążących do kościoła. Dawno już nie jestem z nimi, a jednak zawsze wzrusza mnie głęboko myśl, że te zastępy ludzi często ciemnych, często występnych, pospolitych, w dzień świąteczny wywabia z legowiska rzecz nie przynosząca im żadnej korzyści, nadziemska, piękna, że na dnie każdego z tych serc tli się płomyk idealnej tęsknoty za czemś, co jest ponad ich szarem życiem, co ich wiedzie w górę, na ścieżki doskonałości.

Wiem, że te ich uczucia bywają nieraz wypaczone, zbrudzone, zaśmiecone, ale zrodziła je potrzeba dobra, piękna, pęd ku górze.

Dlatego, gdy w dzień świąteczny słyszę głos dzwonów nawołujących rzesze, gdy pod memi oknami turkoczą pojazdy, szemrzą kroki pobożnych, nie ruszam się z miejsca, nie idę za nimi, myśl moja, ni moje uczucie nie jest z nimi, ale serce przenika radość i uwielbienie dla istoty ludzkiej, która rwie się wzwyż.

Cały ranek i popołudnie nasłuchiwałam gwaru niedzieli, a gdy zcichły, przepadły w polu ostatnie

turkoty, ostatnie kroki wracających z nieszporów, w myśli poczęły snuć się wspomnienia dawnych wierzeń, dawnych uniesień, dawnych modłów. Dziecięce, naiwne rezonowania, młodzieńcze wątpliwości, walki, utraty.

Pacierza i pierwszych zasad religii uczyła mnie bońcia, czyniła to z patosem i najsilniejszy kładła nacisk na stronę groźną i władczą. Widocznie na jej trwożliwą naturę, obdarzoną skutkiem wieku i ciężkich przejść życiowych znacznym zasobem instynktu samozachowawczego, postrach i autorytet działały silniej, niż słodycz i miłosierdzie, ale na mnie młodziutkiej, nie znającej życia, ni jego bólów, stąd nieopatrznej, zuchwale wyzywającej niebezpieczeństwo, pozornie nieśmiałej, lecz wewnętrznie odważnej, niezależnej, nawet rewolucyjnej, jarzmo władzy bezwzględnej wywoływało odruch buntu, groza cierpień — pragnienie narażenia się na nie, takie oto.

— Spróbujcie! zobaczymy, czy mnie zmożecie!

Takie zabarwienie religii, podawanej mi w dniach wrażliwego dziecięctwa, wyrobiło we mnie pewną względem niej oporność i przyczyniło się prawdopodobnie do utraty szybkiej, jak na warunki, w których żyłam.

Przypominam sobie jedną lekcyę religii, która najsilniej wryła mi się w pamięć.

Było to w Wielkim Poście. Wieczorami po ko-

lacyi odbywały się w pokoju mamy Gorzkie Żale. Ołtarzyk zwykle biały i niebieski, pełen kwiatów, pozłocistych obrazków i kokard, przykrywano fioletowym płatem, opiętym gałęziami cierniowemi, świece były woskowe, obrazki i stroje znikały, usuwano też posążek Matki Boskiej Łaskawej, a miejsce jej zajmował krucyfiks. Ascetyczna, bolesna, o wpadniętych oczach twarz Chrystusa przypominała mi twarz ojca i jak tylko zapamiętam, wytwarzała między nimi pewną wspólność, łączącą czasem te dwie miłowane i wielbione postacie w jedną. Dlatego pewnie instynktem dziecka wiedziona tak niezwykle silnie odczuwałam mękę Chrystusa.

Mama z bońcią klękały przed ołtarzykiem, czytały głośno na zmianę modlitwy i intonowały pieśni. Za niemi tuż Stefek, w maminej spódnicy Jania, dalej kucharka, Marcin, praczka z przeciwka z córką, stróż miejski, Walenty, czasem ktoś przygodny, a z boku, za maminem łóżkiem, oparta łokciami o krzesełko, z twarzą w dłoniach, ja, skryta przed okiem ludzkiem, aby swobodnie oddawać się myślom bolesnym, tonąc w męce bez granic.

Dziś jeszcze pamiętam krwawy blask lampki, rzucającej łunę na udręczoną twarz Chrystusa, ostre zarysy gałęzi cierniowych, których sam widok rozdzierał serce i pieśń zawodzącą:

»Jezu Chryste, Panie miły,
Baranku bardzo cierpliwy«.

Wzbierało mi wówczas serce miłością dla tego Baranka, który tak bardzo cierpiał dobrowolnie i bez winy, żalem, że Go już niema i że się tyle męczył, nienawiścią dla żydów, którzy go ukrzyżowali, pogardą dla uczniów niedość odważnych i silnych, by Go obronić, urazą do Matki Jego, że to przeniosła, że stała u stóp krzyża i nie padła martwa od nadmiaru cierpienia. Zdawało mi się, że gdybym ja tam była, toby się to nigdy nie stało; umiałabym przemówić do Jego katów, by Go puścili wolno, albo ukryłabym Go przed nimi lub wreszcie wydała się w ich ręce za Niego. Myśl że się to już stało, poczucie niemocy wobec zdarzenia spełnionego, nieodwołalnego, rosiło mi czoło potem, ściskało serce, doprowadzało do zapamiętania w bólu.

Nigdy jakoś nie przyszło mi na myśl winić o tę mękę Boga Ojca, gwoli przebłagania którego Chrystus skonał na krzyżu. Dopiero jedna lekcya z bońcią rzuciła nowe światło na akt męki. Doszłyśmy właśnie w historyi świętej do rozdziału o ukrzyżowaniu. Bońcia zmrożona myślą o cierpieniu, przejęta czcią dla mocy bożej, mówiła z trwogą o dniach męki, o biczowaniu, koronowaniu, o godzinach strasznego konania, o ciemno-

ściach, trzęsieniu ziemi i przerażeniu, które zawładnęły światem, gdy się dokonało odkupienie.

— Wszystko to działo się z woli Boga Wszechmogącego, któryby nas wydał na wieczne potępienie, gdyby Syn Jego Przenajświętszy nie odkupił grzechów naszych śmiercią na krzyżu — kończyła rozdygotanym głosem.

We mnie wszystko się zagotowało, w myślach powstał zamęt, sercem szarpnął gniew.

— Jakto, bońciu, jakto? — krzyknęłam — więc to z woli Boga to wszystko? Pan Bóg chciał, aby Pan Jezus tak strasznie się męczył?

— Tak — odparła bońcia — Pan Bóg jest Wszechmogący.

— Ależ to On zły, ja Go nie cierpię!

— Cicho, Aneczko, cicho na miłość boską! Bluźnisz, narażasz się na wieczne potępienie, na męki piekielne. Pana Boga trzeba miłować nade wszystko.

— Ależ, bońciu, pomyśl, własnego Syna wydał na taką mękę i poco, poco?

— Aby odkupił nasze grzechy.

— Mówiłaś przecież, że Pan Bóg wszystko może, mógłby więc nam darować grzechy bez tego.

— Mógłby, bo jest Wszechmogący, mógłby nawet sprawić, aby ludzie wcale nie grzeszyli.

Imponowała mi bońcia swoim potężnym władcą, ale ja nie posiadałam się z oburzenia:

— Więc to są jakieś niemądre wymysły, do niczego nie potrzebne.

— Aneczko, przestań!

— Nie przestanę, nie chcę przestać, to za wiele.

Może sprawić, aby ludzie nie grzeszyli i pozwala im grzeszyć, a gdy nagrzeszyli, może ich zbawić i nie chce tego zrobić, dopóki Pana Jezusa nie umęczą, nie zabiją. To pewno przez zazdrość, że Pan Jezus taki dobry, taki ludzi kochający, a On zły.

Bońcia zatknęła mi ręką usta, pobladła, z przekrzywionym czepkiem, trzęsła się, oglądała z przestrachem, rychło piorun trzaśnie w bluźnierczynię lub dyabły żywcem porwą ją do piekła. Ja, złamana bólem i gniewem, wybuchnęłam płaczem, który zwabił mamę. Zostałam zburczona, że wyprawiam komedye, a bońcia, że niepotrzebnie wdaje się w rozprawy religijne, bo to grzech i do niczego dobrego nie prowadzi, powinna mnie lekcyi przesłuchać, zadać nową i koniec.

Odtąd nie wszczynałam nigdy sporów religijnych, bo bałam się grzechem obrazić Pana Jezusa i bardziej jeszcze kryłam się z moją dla Niego miłością, aby mnie znów nie pomówiono o komedyanctwo. Dla mojej szczerej natury był to zarzut niezwykle przykry, bo zasadniczo niesprawiedliwy, nigdy bowiem nie kłamałam i nie udawałam. Lęk

przed posądzeniem o granie jakiejś roli był dla mnie przez całe życie tłumikiem, włożonym na odruchy wrażliwości. Stąd nieraz mnie przeczuloną, zapalną, unoszącą się, brano za obojętną, chłodną, zrównoważoną.

Od owej lekcyi z bończą mój stosunek do religii był zawsze rozdwojony na głuchy bunt przeciw tyranii i grozie uosobionej w Bogu Ojcu, starcu z rozwianym włosem, długą brodą, oczyma pełnemi błysków, siedzącego na chmurach piorunowych, srogim sędzi z dnia ostatecznego, i uwielbienia pełnego tkliwości dla słodyczy i przebaczenia, czyli Chrystusa.

Jego dobra postać godziła mnie z przykrym aktem spowiedzi. Dla mnie szczerej, lecz skrytej w tajnych drgnieniach duszy, to odsłanianie serca i myśli przed księdzem, człowiekiem często obcym, a w każdym razie takim, z którym mnie nic nie łączyło, było gwałtem zadanym naturze tak urażającym, że się do niego nigdy przyzwyczaić nie mogłam.

Jeśli więc spowiadałam się do ośmnastego roku życia, to jedynie dla chwili czystego uniesienia, które potem następowało. Doznawałam istotnie poczucia wyzbycia się win, odrodzenia duszy, zbliżenia się do doskonałości. Od stóp konfesyonału szłam w kącik kościoła, do jakiejś kaplicy lub bocznej nawy za ławkami, tam klękałam, kryłam

twarz w dłoniach, starałam się nie myśleć o niczem, oderwać się zupełnie od spraw ziemskich i czekałam na chwilę łaski. I przychodziła jakaś cichość, ukojenie, a potem radość, rozpromienienie tak wielkie, że olśnione niem oczy opływały łzami. Wówczas zdawało mi się, że za mną w smudze świetlanej, sam bardziej do ukształtowanego światła niż do postaci ludzkiej podobny, staje Chrystus, chyli się z cichym uśmiechem nade mną i kładzie mi dłoń na głowie, a od dłoni tej przez mózg, przez całe ciało płynie prąd siły i dobroci i zbiega się w sercu. Wstawałam z klęczek po takiem uniesieniu, pełna miłości dla życia i chęci do czynu.

Raz tylko moje religijne uczucia odbiegły od Chrystusa do Matki Jego. Było to już ku schyłkowi mojej pobożności, miałam wówczas lat szesnaście, chodziłam na pensyę w stolicy. Był maj, zaczęły się egzamina, dawano nam po kilka dni wolnych na przygotowanie. Uczyłam się zwykle od rana, a nad wieczorem szłam z koleżankami na majowe nabożeństwo do kościoła poklasztornego. Przy bocznej ulicy, w dość obszernym ogrodzie, pełnym o tej porze kwitnących bzów, zdala od miejskiego gwaru, stał kościół mroczny, cichy. W bocznej nawie wśród zieleni, wśród snopów kwiecia, uśmiechała się postać Maryi z Jezusem na ręku. Ta tkliwie przygarnięta drobna postać dzie-

cięcia budziła we mnie nowe, nieznane uczucia, sądzę, że widok boskiego macierzyństwa wywoływał we mnie pierwsze drgnienia kobiecości, pragnącej ponad wszystko spełnienia swego posłannictwa macierzyńskiego na ziemi.

Szesnaście lat, wiosna, mrok świątyni, zapach bzów i te otulające ramiona, oto co było przyczyną mego nabożeństwa do Matki Boskiej, uczucia najbardziej ziemskiego, najmniej niebiańskiego, jakie można sobie wyobrazić.

Pociągnięta mocą i słodyczą tego nowego uczucia, chodziłam codzień do kościoła w godzinach przedwieczornych, aby przed ołtarzem Maryi chłonąć świeżo poznany czar. Wracałam do powszedniej pracy zmęczona, senna, zobojętniała na wszystko, otumaniona nieokreślonemi wrażeniami. Wyjazd na wakacye wyrwał mnie z tych oparów miłosnych, które w formie uniesień religijnych już nie wróciły. Bo też już następnej zimy wstąpiłam na ścieżkę powątpiewań, która mnie zawiodła aż do utraty wiary.

Ciężka to była zima, ile nocy przemodlonych, przepłakanych! Czytałam wtedy Renana, Zolę. »*La vérité*« zadała świątyni mych wierzeń i uczuć religijnych cios ostateczny. Posypały się gruzy i padły ciężarem na serce.

Nie chciałam rozstać się z dobrą istotą Chrystusa. Ileż to razy skulona wieczorem na podło-

dze, zalana łzami, chwytałam w wyobraźni za skraj Jego szaty, błagałam, by pozostał, by wyrwał mnie z tej mrocznej toni, w którą spadałam, z tej toni, gdzie się nic nie wie i gdzie się jest zawsze samą.

Postanowiłam wyspowiadać się przed jakimś rozumnym i zacnym księdzem w nadziei, że mnie przy wierze utrzyma. Układałam długie wyznania wątpliwości i niewiar, a gdy przyszła spowiedź wielkanocna, już we mnie zgasł ostatni płomyk wiary, została tylko tęsknota za tem, co odeszło i nie wróci.

Miałam wtedy silną blednicę i już na początku postu zabrano mnie do domu, tam więc dokonało się ostateczne przesilenie i tam po raz pierwszy oświadczyłam, iż do spowiedzi nie pójdę. Mama była oburzona.

— Znów jakieś komedye. Przewróciło ci się w głowie na pensyi, myślisz, żeś już wszystkie rozumy pojadła i że swoją niewiarą komu zaimponujesz.

Milczałam, a po chwili mama znowu:

— Mam nadzieję, że się namyślisz i że nam tego wstydu przed kanonikiem nie zrobisz. Powinnaś mieć wzgląd na swoją opinię, bo to jedyny twój posag. Kobieta bez wiary, to kobieta bez moralności, a z taką nikt się nie ożeni.

— Jeśli mnie kto pokocha, to mnie weźmie taką, jaką jestem.

— Nie jesteś ani ładna, ani bogata, nie możesz liczyć na wielką miłość. Mógłby cię kto wziąć dla twego wychowania i zalet, a jak się ludzie dowiedzą, że jesteś przemądrzała i bez wiary, to nikt na ciebie nie spojrzy.

— To trudno, nie mogę postępować wbrew przekonaniu.

— Takie smarkate przekonań nie mają, rozumiesz, czynią, co im rodzice każą i koniec.

Zdławiona łzami milczałam.

Nazajutrz rano mama w kapeluszu i pelerynie otworzyła drzwi pokoju, w którym mieszkałam z Janią.

— Idziemy do spowiedzi, ubieraj się.

— Nie pójdę.

— To ostatnie twoje słowo?

— Ostatnie.

— Rób, jak chcesz, ale pamiętaj, że cię ostrzegałam — trzasnęła drzwiami i poszła.

Schowałam głowę w poduszki i płakałam aż do opuchnięcia. Płakałam nie tylko nad utratą wiary, płakałam nad postępowaniem mamy, które wydało mi się złe i niemądre. W rozpalonej głowie snułam plan porzucenia domu, w którym mnie poniżają, nie rozumieją, nie kochają. Dopiero kroki ojca za drzwiami w jadalnym pokoju przypomniały mi, że on mnie nie skrzywdził, że mnie zawsze rozumiał i kochał, choć nie pieścił. Od rozpaczy

przerzuciłam się do uwielbienia dla ojca, wstałam, obmyłam twarz i wróciłam do powszedniego życia, pełna smutku i obrażonej godności.

Długo nie mogłam darować mamie, że w taki sposób pospolity zakończyła mą piękną, choć bolesną walkę duchową o wiarę. To, co było z jej strony popędliwością, wynikającą z żywego usposobienia i przywiązania do mnie, brałam za brak serca wogóle, a dla mnie w szczególności. Co było stronnem traktowaniem sprawy, uważałam za dowód ograniczenia. Wymagająca nadmiernie, jak wszystkie dzieci względem rodziców, byłam też ślepo surowa. Nie mogłam zrozumieć tego przekształcenia, jakie się nagle dokonało w mych oczach, z matki-autorytetu umysłowego i moralnego, na matkę-kobietę z wadami umysłu i serca, jak wiele innych kobiet na świecie. Trzeba było wielu ciężkich doświadczeń, wielu bólów, abym umiała dojrzeć w niej kochającą, wierną przyjaciółkę i wziąć to, co mi dać mogła. Przez długie jednak lata trwało między nami gorzkie wspomnienie tego zajścia i trzymało nas w oddaleniu.

Matka uważała mnie za istotę zarozumiałą, wynoszącą się nad nią inteligencyą i charakterem i nie mogła mi darować tego domniemanego lekceważenia, potrącając o nie często w rozmowach lub postępkach.

Ja nie mogłam jej przebaczyć, że przestała być dla mnie bożyszczem.

W ciągu tych lat zbliżyłam się do ojca, byłam towarzyszką jego wycieczek do chorych na wsi i pomocnicą w operacyach, opatrunkach lub pielęgnowaniu.

Na trzęsącym wózku, przytuleni do siebie, jechaliśmy nieraz w deszcz i chłód po wyboistej, błotnej drodze, do dalekiej, przypadłej do ziemi wioski, do nędznej chaty, gdzie głód i ciemnota panowały niepodzielnie. Tam, w tych mrocznych, cuchnących wnętrzach, poznawałam rozum i poświęcenie ojca. Godzinami wysłuchiwał mętnych opowiadań biedaków o chorobie, jej przyczynach i objawach, umiejętnemi pytaniami wydobywał potrzebne objaśnienia, z chaosu niezrozumiałych określeń, prowincyonalizmów wioskowych, wyciągał odpowiednie wnioski, sumiennie i długo obsłuchiwał chorego, po kilka razy wracając do cierpiącego organu, aby otrzymać dokładne określenie miejsca i rodzaju bólu. A gdy już skończył badanie, gdy postawił dyagnozę, rozpoczynał tłumaczenie tym uprzedzonym, niepojmującym głowom, przeładowanym przesądami, jaka to jest choroba, co ją spowodowało i co trzeba czynić, aby ją usunąć. Pięć, dziesięć razy nieraz powtarzał, co chory ma jadać, a czego unikać, jak się zachowywać, o jakiej porze i w jaki sposób brać lekarstwa.

Wówczas wyłaniały się różne braki i przeszkody domowe, a to krowa cielna, mleka jeszcze z parę tygodni nie będzie, a to nacierania nie ma kto zrobić, a to baniek nikt we wsi stawiać nie umie. Więc znowu narada językiem prostym, przeplatanym gwarą, wchodzenie w troski, stosunki rodzinne i sąsiedzkie. Możeby wziąć mleka na odrobek, może poprosić kumy o nacieranie; bańki stawiał ojciec sam na poczekaniu. Zawsze kończyły się odwiedziny dokładnym planem działania dla rodziny chorego, rozkładem obowiązków, objaśnieniem każdego, co ma czynić.

Gdy po długich oględzinach, naradach i poleceniach siadał na bryczkę, jeszcze myślą zostawał przy chorym, jeszcze się kłopotał, czy go dobrze zrozumiano i czy wszystkie rozkazy będą wypełnione.

Jeśli choroba była interesująca, od niepokojów o chorego przechodził do wykładów lekarskich. Deszcz siekł w oczy, bryczka skakała po kamieniach, a on mówił, przejęty zapałem dla umiłowanej wiedzy, mówił dokładnie, jasno, jakby nie podgórskie rozdroże, lecz ściany auli uniwersyteckiej go otaczały, jakby nie trzęsący wasąg, lecz katedra profesorska była pod nim, a przed nim zastępy inteligentnych uczniów, nie zaś prosta, miernie wykształcona dziewczyna.

Często poruszony ciemnotą ludu, nędzą jego

życia, nieumiejętną uprawą roli, zastanawiał się nad sprawą społeczną, analizował przyczyny i objawy smutnych stosunków z dokładnością lekarską, stawiał dyagnozę, podawał środki zaradcze. Wówczas zapalał się jeszcze bardziej, bo ponosiło go nie serce lekarza, lecz serce człowieka i Polaka.

— Tyle pól pracy odłogiem leży, a tyle rąk próżniaczych w naszym kraju — mówił z żalem. — Ty tu w naszym zakątku znasz tylko ludzi niezamożnych, zarabiających na kawałek chleba, ale tam w stolicy, tam w żyznych stronach, ilu bogaczów znudzonych, nie wiedzących, co uczynić z życiem, ilu, którzy śmierć sobie zadają, byle uciec od nudy. Czy oni nie chcą, czy też nie umieją patrzeć, skoro nie widzą tych ugorów nieuprawnych, tych placówek niezajętych? przecież to ich powinno za serce targać, jako sprawa ludzka i narodowa. Dość długo na świecie żyję, a jeszcze wielu rzeczy nie mogę pojąć i ścierpieć.

Jedno mógł sobie powiedzieć, że sam nie próżnował i swoim nie dał próżnować. Dziećmi jeszcze byliśmy, kiedy nas posyłał z lekarstwami do ubogich i chorych w miasteczku, używał do pomocy w opatrunkach. Poza tem strzegł, byśmy się dobrze uczyli i brali udział w zajęciach domowych. Na jego to żądanie nakrywaliśmy do stołu, utrzymywali w porządku ogródek i kwiaty w mieszkaniu, przynosili warzywa i owoce potrzebne do ku-

chni, słali swoje łóżeczka, ścierali kurze, zbierali gazety, które kolejno przechodziły przez ręce starej, ubogiej nauczycielki, panny Pauliny, jeszcze starszego pułkownika i kulawej modniarki, Pelci. Każde z nas, nawet Jania pieszczocha, wietrznica, miało sobie powierzoną pracę, którą musiało sumiennie wypełniać i być za nią odpowiedzialne i żadne nie śmiało się z niej wyłamać, bo tak »tatuś chciał«.

Dziś w nocy wicher wywrócił budę na narzędzia ogrodnicze i nie można już jej podnieść, pale spróchniałe leżą połamane, z desek zostały połupane szczapy.

Znowu utracona istota kochana.

Jak tylko pamięcią wstecz sięgnę, widzę ją zawsze pod murem ogrodu szeroko do ziemi przysiadłą, pochyloną, grubym balem w ziemię wrażonym podpartą, niby gospocha rozniesista a wiekowa, wspierająca laską swą poufałość. Strzecha przepychem zielonego mchu nakryta, ściany w żółte i szare liszaje popisane, szybki małego okienka pomalowane słońcem w złote i błękitne cienie, drzwi zwisały na opuszczonych zawiasach krzywo, jak niedbale zawiązana zapaska, a szeroka w nich szpara wzbudzała ciągłe podejrzenie, że tam ze środka jakiś wścibski nos i ciekawe oko wywąchuje i podpatruje, co się dzieje w ogrodzie.

Wnętrze równie było »od niechcenia« i malownicze, jak zewnętrzna postać. W najmroczniejszym kącie aż popielata od starości słomiana koszka, dawno słodkiej i brzęczącej zawartości wyzbyta, chyliła w bok, nasłuchująco, rosochatą głowę, jakby pytała:

— Co powiadacie, kumeczku?

Obok stos potłuczonych szyb z tych świetnych czasów, za dawnych właścicieli, gdy pod ścianą budy przeciągały się rozkosznie w cieple inspekt wczesne jarzynki. Promień słońca, wpadający przez szparę ściany, docierał aż do drobin szkła i zaczarowywał je w klejnoty.

Pęk tyk chmielowych prężył się aż do dachu, niby lance husarskie, a do wtóru im zwisały od pułapu buńczuki kopru i kminku. Zardzewiała, z rozprutym bokiem konewka, zaryła się nosem w klepisko, przy niej nowa, na zielono pomalowana, dumnie zadzierała nosa do góry. Szpadle, motyki, grace i grabie, stare i nowe, uszeregowane pod ścianą czekały cierpliwie, jak konie robocze, kiedy je wyciągną do pracy. Zwój podartych mat, pod okienkiem pęk słomy, nęciły do spoczynku, gdy się weszło do budy po znojnej krzątaninie w ogrodzie. Radziśmy też w tem cichem, ciemnawem wnętrzu wyciągali znużone członki na słomie i gwarzyli o swoich sprawach. Już to, prawdę powiedziawszy, nigdzie się tak do-

brze nie rozmawiało, jak w budzie. Może nastrój skupienia wywoływały stare graty, ukojone w długim odpoczynku po ruchliwem życiu, może półmrok, może zaciszność pochyłonych ku sobie, jakby zbiegłych w serdecznym odruchu ścian. Gdy się tam chwilę poleżało na podściółce z mat, krew poczynała płynąć wolniej, myśli układały się równiej, ogarniało uczucie oderwania się od powszednich spraw, zapadnięcia w siebie, jasnego przejrzenia tajników duszy. To, co leżało na jej dnie, wypływało na wierzch, napraszało się uwagi i jeśli wtedy był obok ktoś blizki, zaufany, mimowolnie ogarniała chęć odkrycia przed nim głębi serca, podzielenia się jego zawartością i poczynały płynąć słowa najprzód niewyraźne, nieśmiałe, lękliwie badające grunt, na który padają, gotowe w razie szorstkiego przyjęcia spłoszyć się i cofnąć, potem coraz wyraźniejsze, pewniejsze siebie, obfitsze, wreszcie rzucały się potokiem z wezbranego serca, jak wody strumienia w podwiośniu, dotknięte gorącym promieniem słońca-zrozumienia, słońca-odczucia. Ileż takich kryształowych, huczących kaskad rwało się tam ku mnie z duszy Stefka, ile ja mu nawzajem wylewałam nadmiarów serca. Nawet Jania, taka trzpiotka, tak bardzo życiem zewnętrznem, życiem chwili pochłonięta, miewała godziny skupienia, godziny przypływu uczuć, w których chętnie tuliła

się do Stefka lub do mnie na wiązce słomy w budzie i szeptem zwierzała się:

— Bo wiesz, mnie się zdaje...

Pojechał Stefek do szkół, chodziłam do budy sama na rozmyślania. Spodziewałam się, że gdy wróci, wnet pociągnie mnie do ulubionego ustronia, pogwarzyć o nowem życiu, lecz przyjechał na wakacye w czerwcu jakiś poważny, zamyślony, trochę wyniosły, onieśmielał mnie. O zwierzeniach w budzie ani mowy nie było. Dopiero coś w tydzień po przyjeździe rozruszał się przy grabieniu siana: bez kurtki, z zawiniętymi rękawami koszuli, z płowymi kosmykami czupryny, przylegającymi do spotniałego czoła, rozczerwieniony, uśmiechnięty, ruszał się zamaszyście, wykrzykiwał donośnie. Był mi dawnym, pełnym ognia Stefkiem, wnet się do niego ośmieliłam, kuksałam przy robocie, przekomarzałam się wesoło. Dzień był upalny, po skończeniu grabienia pobiegliśmy na podwórko pić wodę ze studni, mama wyniosła nam po kawałku czekolady za dobrze wykonaną pracę.

— Pędźmy do budy — wykrzyknął Stefek — tam odpoczniemy i zjemy czekoladę.

— Dobra nasza.

Pogalopowaliśmy na wyprzódki. Pchnięte z rozmachem drzwi, wstrząsnęły ruderą, z pułapu, z kminkowych buńczuków posypały się tumany kurzu. Padliśmy na słomę. Wyciągnęłam się wygodnie

i po chwili ogarnęło mnie uczucie zupełnego dobrobytu: zmęczonym członkom było tak dobrze na słomie, czekolada smakowała wyśmienicie. Przez otwarte drzwi lało się słońce, a w niem drgał słup pyłków kurzu, niby chwilki szczęścia, które widziane z oddali, z mrocznego zakątka, opromienione słońcem tęsknoty, zlewają się w jedną smugę świetlaną.

Milczeliśmy długo, pochłonięci czysto fizycznemi wrażeniami wypoczynku i jedzenia. Stefek pierwszy zmącił ciszę kilku energicznymi taktami marsza, które mu się wyrwały z piersi do wtóru dzielnym rojeniom. Wślad za dźwiękami poszły ruchy, nogi i ręce poczęły wyrzucać się w górę w takt marsza. Wreszcie zerwał się Stefek z posłania, chwycił jedną z lanc chmielowych z kąta, zarzucił ją na ramię i maszerował między rupieciami, wyśpiewując na całe gardło. Rozbawiona, klaskałam rękoma i śpiewałam, ile mi tylko sił starczyło. Nagle zatrzymał się przede mną w postawie wojskowej, wyrzucił lancę w górę, chwycił zręcznie i począł mówić o szkole, o kolegach, o całem tem życiu dla mnie obcem, a dla niego blizkiem i drogiem.

Przez wiele jeszcze lat słuchała buda naszych zwierzeń, a dziś już z niej sterczą tylko połamane żerdzie; wkrótce zaś zostanie jeno wspomnienie, jak po wszystkiem.

Jakie to piękne wyrażenie — gniazdo rodzinne. Nic dokładniej nie określa tego zacisza, przytulności, poczucia bezpieczeństwa, zżycia się, związku z domem ojcowskim.

Stoi w oknie mała dziewczynka, warkoczyk do pół pleców z granatową kokardką, przydeptane kamaszki, szelka pensyonarskiego fartuszka zsunęła się z ramienia. Stoi przy oknie i patrzy w ogród. Jest wieczór, ciemne chmury zasnuły niebo, deszcz tnie w szyby, wicher szarpie drzewami, wyje w kominie. Jest brzydko, mroczno, ponuro, duszę dziewczynki przenika smutek.

— Jak źle na świecie, jak samotnie — myśli mała główina, a serce kurczy się, drży z chłodu, z udręki.

Zaszemrało coś za nią, odwróciła się; przez otwarte drzwi jadalni wpada smuga światła, lampa wisząca pali się nad stołem, na białej ceracie w kwiatki stoi koszyk z bułkami, masło. Bońcia w czepku, w szerokim, wykrochmalonym niebieskim fartuchu, nakrywa do kolacyi. Mama schyliła głowę i ceruje pończochy. W świetle lampy połyskują jej jasne włosy, równo w środku głowy rozdzielone. Zegar na ścianie cyka głośno, aż tutaj słychać. Jasno, ciepło, cicho. Dziewczynka stoi oniemiała, wzruszona. Jest jak mały, zziębnięty, przemokły ptaszek, którego otuliła troskliwa ręka, podniosła do ust i ogrzewa oddechem.

— Mama, bońcia — szepce dziewczynka i zaciska

piąstki na piersiach, w których serce kołacze głośno, głośno. Nagle podrywa się i w podskokach przypada do kolan matki, tuli twarz w jejspódnicy i kwili:

— Mamo! mamo!

— Cóż tam nowego?

Stuknęła ją mama żartobliwie naparstkiem w głowę, a bońcia zrzędzi:

— Oj, Aneczko! Aneczko!

Dziewczynka podnosi ku niej uśmiechniętą rozkosznie twarz i wysuwa ryjek przekornie. Już jej dobrze, już nie czuje się smutna, sama.

Rozdygotał się dzwonek przy bramie, stuknęły drzwi wejściowe, w sieni słychać otrząsanie parasola, zdejmowanie kaloszy, palta. Wchodzi tatuś, wyciera mokre wąsy.

— Co za czas okropny!

Mama podnosi ku niemu zaniepokojone oczy.

— Zmokłeś bardzo?

— Nie, miałem parasol.

Ma zaczerwienioną twarz, załzawione oczy, siny nos, zgarbione plecy. Jest zziębnięty, zmęczony, biednieńki. Dziewczynka idzie cicho na palcach, końcami ust całuje tatusia w ramię.

— Dobry wieczór tatusiowi.

— Jak się masz, dziecko?

Przesunął rękę po jej włosach, zatrzymał na ramieniu i idzie z nią przez pokój. Nie patrzy na nią, ale ma ją przy sobie.

— Dajecie prędko jeść? głodny jestem.

— Zaraz niosę, zaraz niosę — śpieszy się bońcia, dreptoli ku drzwiom, krząta się po kuchni. Ojciec siadł i rozmawia z mamą, dziewczynka stoi obok, skubie brzeg ceraty, przenosi oczy z ojca na matkę, z matki na ojca, uśmiecha się i szepce cicho:

— Tatuś, mamusia, tatuś, mamusia.

Drzwi otwierają się i z trzaskiem wpada Jania, opasana czerwonemi lejcami, za nią Stefek z czterokonnym biczem, galopują przez pokój i zatrzymują się przed tatusiem. Jania drapie mu się na kolana, podstawia różowy policzek do całowania, Stefek potrzaskuje z bata i opowiada:

— A co, tatusiu, dostałem dzisiaj piątkę z arytmetyki i pan nauczyciel powiada, że z czego, jak z czego, ale z arytmetyki zdam do gimnazyum na pe.

— A co dostałeś z geografii?

— Nie odpowiadałem dzisiaj i nawet szkoda, bo dobrze się obkułem i teżbym piątkę złapał.

Bońcia wnosi parujący półmisek. Wszyscy siadają, mama odkłada robotę, Stefek rozprawia dalej, a dziewczynka wodzi oczyma koło stołu i myśli:

— Tatuś, mamusia, Stefek, Jania, bończia, wszyscy, jak to dobrze! jak to dobrze!

Dzieci chorują na odrę. Jania grymasi, nie puszcza mamy od siebie i każe opowiadać bajeczki.

Stefek wparł się łokciami w poduszkę, zatknął uszy i czyta »Bitwę pod Raszynem«. Aneczka ma zapalenie płuc, wyniesiono ją z łóżeczkiem do salonu, bo ma silną gorączkę i oddycha z trudnością. Zasnęła i śni jej się, że biegnie pod górę szybko, bardzo szybko, śpieszy się, bo ktoś ją goni, tchu jej brak, serce bije, obudziła się. Jania w sąsiednim pokoju płacze, okna stalowe od zimowego zmierzchu, ledwie przez nie widać pokryty śniegiem dach drwalki. Aneczka odwróciła oczy w inną stronę, w kącie czai się fortepian, rozstawił szeroko nogi i czai się. Aneczka się boi, zamyka oczy, zasypia i śni jej się, że fortepian za nią goni, szybko przebiera grubemi nogami, kłapie klawiszami, ona ucieka, ucieka, fortepianowi wyrasta głowa, błyskają oczy, zamienia się w ogromnego wilka, dogania Aneczkę, ona dobywa reszty sił, wyrywa się i krzyczy:

— Mamusiu! mamusiu!

Czyjeś ręce dotykają jej głowy, otwiera oczy, na stoliku stoi zapalona świeca i razi ją aż do bólu, nad łóżeczkiem schyla się mama, trzyma rękę na jej głowie i pyta:

— Co ci to, dziecko, co ci?

Aneczka przyciska głowę do maminych kolan i szepce z przestrachem:

— Mamusiu, mamusiu.

— Widocznie coś jej się przyśniło — mówi

bońcia i chyli się z drugiej strony. Mama przesuwa rękę po twarzy Aneczki i po poduszce.

— Boże, jaka ona spocona, wszystko mokre, trzeba zmienić bieliznę.

Bońcia śpieszy ku drzwiom. Mama zawija Aneczkę w szal i otacza rękoma. Aneczka chce się dźwignąć sama, nie może.

— Takam ciężka — mówi.

— To nic, weź mię tylko za szyję, to cię uniosę.

Aneczka obejmuje mamę za szyję, garnie się do niej. Mama siada na fotelu, tuli ją na kolanach.

Wchodzi tatuś.

— Jakże jej?

— Spociła się, aż bielizna mokra, bońcia zaraz zmieni.

Tatuś podchodzi, chyli się ku niej, dotyka ręką jej czoła. Aneczka opadającą, błądzącą ręką ujmuje dłoń jego i całuje.

— Moje biedactwo małe — mówi tatuś i w oczach coś mu się szkli, ale nie łzy, bo mężczyźni przecież nie płaczą.

Bońcia zwija się koło łóżeczka, opina kołderkę, natrząsa poduszkę.

— No, już wszystko świeżutkie, czyściutkie, może się Aneczka kłaść.

Mama układa dziewczynkę w łóżeczku, otula kołdrą, Aneczka chwyta jej rękę, drugą bierze rękę

tatusia, bońcia zabrała świecę, w kącie znów czai się fortepian, ale Aneczka już się nie boi, ściska ręce rodziców, uśmiecha się do nich, powieki jej ciężą, ciężą, opadają, zasypia.

Poszły dzieci do boru na grzyby, poszły same. Stefek już drugoklasista i Aneczka nie dziecko, nawet mała Jania wędruje raźno. Wyszły z domu zaraz po obiedzie z wielkim koszem, Stefek i Aneczka niosą go za dwa ucha, Jania to biegnie przodem, to marudzi za nimi.

Idą miedzą między zbożami, tak wysokiemi i równemi, jak mur, świata z za niego nie widać. Świerszcze polne rżną od ucha raźną piosenkę, osy brzęczą nad kielichami kwiatów, pełnymi słodyczy. Złoty mur zboża przetykany czerwienią maków, modrością habrów. Stefek i Aneczka nie skuszą się na nie. Jak na grzyby, to na grzyby, wędrować trzeba, nie mitrężyć, i rąk sobie po próżnicy nie zaprzątać, ale Jania co chwila jakiś kwiatek uszczknie, w warkoczyki wetknie, w kieszonki fartuszka, albo i rzuci, jak mniej żal. Niebo czyste, głębokie, a hen, na skraju, góry błękitnieją, te bliższe lasem zielono prześwitują. Zarys szczytów tak wyraźnie na niebie odcięty, aż się dusza raduje, dzieci znają wszystkie z nazwy, wiedzą, który bliższy, który dalszy, który się na deszcz mgłami spowija, który najdłużej łuną zachodu gorzeje. Idą dzieci miedzą, koszem bujają, wykrzykują, pośpie-

wują. Doszły do boru i zcichły, bo bór szumi uroczyście, równo, kołysząco. W głębi gruchają gołębie. Dzieci stąpają wolno, prawie kroki tłumią, jak w kościele. Błysnął złoty płomień nad ich głowami, przeleciała wilga, siadła na sośnie i gwiżdże przedrzeźniająco:

— Zofia, pójdziesz do kościoła, pójdę i ja!

— Tu niema żadnej Zofii, a w czwartek do kościoła się nie chodzi, tylko na grzyby — odpowiedziała Jania.

Coś smyrgnęło z pod krzaka, Jania w bok trwożnie uskoczyła, śmignęła wiewiórka, zarudziła się na korze drzewa i znikła. Popędziły w trop dzieci, krzyczą, weselą się, już nie słyszą lasu, już im tylko śmigają złote skrzydła wilg, niebieskie krasek, rude ogony wiewiórek. Nabiegali się, naswawolili, a potem wolno noga za nogą między pniami krążą, oczy wbili w podścielisko igliwiane, grzybów szukają. Zebrali pełen kosz borowików, rydzów, przeszli na polankę, siedli na trawie, pożywili się zapasami, które mama dała, a potem pokładli się wśród ziół leśnych i w niebo spoglądają. Macierzanka pachnie, barwią się smółki i dzwonki, na błękicie drżą bledziutkie listeczki brzozy, obok świerk taki ciemny, jakby zagniewany. Brzoza wdzięcznie gałąź przechyliła ku niemu, listkami coś szeleści, coś mu opowiada, a on nie słucha, nie patrzy nawet, ponury taki.

Wypoczęły dzieci, napatrzyły się cudów ziemi, nawąchały leśnych aromatów, ukołysały szumem drzew i do domu wracają. Nogli obolałe, głowy ciężą, takby się już chciało domu, a miedza długa, zboża wysokie, domu nie widać. Kiedyż się nareszcie ukaże, kiedy? A oto już koniec zbożowej ściany, już miasteczko widać, a z boku tam wśród dachów, wśród drzew, jeden dach oczom najmilszy. Dym z komina idzie, kolacya się gotuje. Z poza dachu wygląda szeroka korona kasztana, w słońcu różnymi odcieniami zieleni gra.

Dzieci oczy utkwiły w dach kochany, już im nogi nie ciężą, już lekko stąpają, byle prędzej do domu. Skrzypnęła brama znajomym dźwiękiem, wywabiła mamę na próg.

— Mamusia! mamusia!

Pędzą dzieci, aż grzyby w koszu podskakują, rzuciły ciężar u nóg mamy, po rękach ją całują, na szyi się wieszają.

A potem nuż po domu biegać z pokoju do pokoju, kąty znajome witać, cieszyć się powrotem. Wołają:

— Bońciu, już wróciliśmy, już jesteśmy!

Z domu do ogródka wypadli, na każdej uliczce być muszą, zajrzeć do altanki, powąchać kwiatów. Sprawdzić, czy wszystko tak samo w domu, w ogródku, czy się nic przez te kilka godzin nie zmieniło. Napełnili sobą wszystkie kąty, ze wszystkiem się

przywitali, ucieszyli, już ich otoczyła, przeniknęła atmosfera swojska, dobra. Zeszli się w jadalnym, koło mamy i opowiadają o swej wyprawie, jakby Bóg wie gdzie byli, pół świata zwędrowali, bo i o miedzy trzeba, i o górach, i o wildze, i o wiewiórce, i o brzozie, i gdzie który grzyb znaleziony, który pierwszy, a który ostatni. Trzeba wszystko, aby mama także przeżyła z nimi te kilka godzin oddalenia, aby nie była obca ich wrażeniom i myślom na wędrówce zrodzonym. Nawiązują troskliwie, usilnie między nią i sobą niteczki porozumienia, jakby to tak miało być już zawsze, aż do końca dni.

Nie, nie będzie, przyjdzie pora, trzeba z domu jechać, a choć się i wróci to już nie to samo, już tylu nowych ludzi na drogę życia weszło, tyle nowych wrażeń duszą wstrząsnęło, tyle nowych myśli w głowie powstało, nie opisać tego w listach, nie wypowiedzieć w długich gawędach wakacyjnych, to trzeba przeżyć razem.

Nieraz się zadumasz o przeżytych dniach, wspomnisz jakieś wydarzenie i do matki się zwrócisz:

— Pamięta mamusia?

I w pół słowa urwiesz, bo nie pamięta, pamiętać nie może, nie było jej przy tem, nie zna ludzi, nie wie, o co chodzi, więc się w głąb swych dumań cofniesz, w swój świat własny, nie maminy, i już ci ona nie taka swoja, jak niegdyś, już trochę obca. A im życie za domem dłuższe, tem tych

wspomnień własnych, dla niej cudzych, więcej. Rosną, rosną, aż urosną w górę nieprzebytą, i choć matka zawsze kochana i ty dla niej kochaną zostałaś, jednak już jesteś za górą, za wysoką, myślami, uczuciami, już twoja dusza dla niej, jak skarb daleki, nieodnaleziony.

Przyszła i dla mnie pora z domu precz iść. Skończyłam lat piętnaście, rodzice chcieli, abym się jeszcze kształciła, a w miasteczku nie było od kogo. Panna Jadwiga w swej czteroklasowej pensyjce nauczyła mnie wszystkiego, co sama umiała, ojciec książki dawał do czytania, ale to nie wystarczało, trzeba było jechać do stolicy.

Stefek mówił:

— Zobaczysz, stolica to zupełnie co innego, niż nasze miasteczko: piękne domy, szerokie ulice, wspaniałe kościoły, ruch, aż ci się będzie w głowie kręciło z początku.

— Nie ciekawam, odpowiadałam żałośnie, a wieczorem w łóżku wtulałam głowę w poduszkę, zalewałam ją łzami i modliłam się z całego serca:

— Panie Jezu umiłowany, daj, aby mi nie było ciężko z domu wyjeżdżać.

Ale było ciężko. Gdy wózek począł się oddalać od domu, gdy mi znikły z oczu kochane ściany, doznałam uczucia, jakby z mego serca wyrastała nitka, drugim końcem przywiązana do domu, i im bardziej się oddalałam, tem nitka bardziej się na-

prężała, ciągnęła serce, rwała, krwawiła. I już tak było zawsze, i w stolicy przez trzy lata pensyjne, i później, ile razy dom opuszczałam. Pracowałam, bawiłam się, żyłam niby normalnie, a ciągle czułam tę nitkę targającą serce i ciągnącą mnie tam, do domu, gdzie jedynie umiałam żyć bez tęsknoty i bez bólu.

Ojciec spostrzegł moje cierpienie i starał się myśli moje zwrócić w inną stronę, wskazywał przez okno wagonu mijane okolice, miasta, zamki, ja odpowiadałam:

— Widzę tatusiu, — ale widziałam wciąż omszałe, poszczerbione mury, przepalone okna rodzinnego domu, jak gdyby przylgnięty do soczewki oka, stawał obraz ten między mną i wszystkiem, na co patrzyłam.

W stolicy tyle nowych rzeczy, niepokój egzaminów, obcość stancyi, nowi ludzie, nowe kąty, nic mnie nie mogło wyrwać z tępego osłupienia. Aż przyszła chwila ostatnia, najcięższa, rozstanie z ojcem. Zlecił mnie opiece pani, w przedpokoju długo przy mojej pomocy kładł palto, długo je obciągał, zapinał, gładził czapkę, wreszcie rzekł:

— Pora mi, bądź zdrowa, Aneczko!

Objął mnie ramieniem, przygarnął, w czoło raz krótko pocałował. Przycisnęłam jego ręce do zziębniętych warg, nie rzekłam nic, otworzyłam drzwi z zatrzaska, a gdy przeszedł, gdy za nim drzwi

zamknęłam, targnęło mi się w sercu coś tak, aż w gardle zdławiło. Stałam chwilę bezwładna, a potem wolno poszłam do swego pokoiku, stanęłam przy oknie, patrzyłam na ulicę, na której gdzieniegdzie błyskały światełka latarni, na szereg domów nieznajomych, na dorożki z jednem kołem w rynsztoku, wzdłuż trotuaru przysiadłe, na szyldy sklepików naprzeciwko, i miałam uczucie, że wpadłam w przepaść, z której niema wyjścia, że ogarnęły mnie mroki, w których nigdy światło nie błyśnie. Byłam malutka, skulona, samotna, nieszczęśliwa. Stuknęły drzwi, odwróciłam się, w progu stała nieznajoma służąca, w sąsiednim pokoju paliła się lampa, na ceracie stał koszyk z bułkami, talerz z wędliną. Koło stołu krzątała się pani, osoba nieznana, obojętna. Niema do kogo się przygarnąć, niema komu pożalić. Jestem sama, zupełnie sama.

Poszłam, siadłam przy wspólnym stole, starałam się jeść, rozmawiać, inne dziewczęta spoglądały na mnie ciekawie, trącały się łokciami, parskały śmiechem, a mnie było coraz gorzej, łzy poczęły zalewać oczy, podnosiłam je ku górze, przełykałam silnie herbatę, aby zatrzymać łkanie, czułam coraz częstsze i niechętniejsze spojrzenia pani, wreszcie rzekła:

— Myślałby kto, że pannie Aneczce krzywda się dzieje.

Wybuchnęłam płaczem, zerwałam się z miej-

sca, uciekłam do swego pokoju, padłam na łóżko, wtuliłam głowę pod poduszkę, zanosiłam się łkaniem i zdawało mi się, że nie przetrzymam tej męki, że się zapłaczę na śmierć, że mi serce pęknie. Aż weszła do pokoju służąca, pochyliła się nade mną i poczęła szeptać perswadująco:

— Niech panienka nie płacze, głowa rozboli i nie ma czego, źle tu panience nie będzie, pani dobra, panienek tyle, będzie wesoło, a przyjdą wakacye, to panienka pojedzie do domu, do tatusia, do mamusi, nacieszy się ze swoimi.

Jej dobre słowa, kołysząca intonacya głosu, opływały moje serce, jak ciepła woda zmęczone członki, przycichłam, więc ona znowu, unosząc mnie za ramię:

— Niech panienka wstanie, rozbierze się, ja łóżko pościelę, panienka się położy, do poduszki przytuli, zaśnie i o zmartwieniu zapomni.

Wstałam, poszlochując, rozbierałam się, ona łóżko posłała, przy nogach moich przysiadła i wzięła się sznurowadła rozwiązywać; nie chciałam pozwolić:

— Nie, nie, dziękuję, ja sama.

— Niech panienka pozwoli, pomogę, prędzej będzie.

Położyłam się, nogi obetkała mi kołdrą.

— No to i dobrze, teraz niech panienka śpi smacznie aż do rana. Dobranoc panience.

— Dobranoc. Dziękuję -- szepnęłam wdzięcznie.

Zgasiła lampę, wyszła, a ja zmęczona płaczem, ukojona poczciwością służącej, zasnęłam natychmiast.

Nazajutrz trzeba się było wziąć do pracy i tyle jej odtąd miałam, że mi nie stało czasu na płacze. Słaba byłam w językach i matematyce, chcąc więc dotrzymać kroku koleżankom, musiałam długo przygotowywać zadane lekcye. Powoli zapoznałam się bliżej z towarzyszkami ze stancyi i z koleżankami z pensyi. Znalazłam wśród nich sporo dziewcząt dobrych i miłych, zżyłam się z niemi i polubiłam. Przywykłam też do obcego domu, do gwaru miasta, i tęsknota złagodniała, ale na dobre nie ustąpiła nigdy. Przez te trzy lata miałam uczucie, że nie żyję naprawdę, lecz spycham przykre dni, byle prędzej przeszły. Bo jakżeż można było żyć, w życiu się rozgospodarować, rozsmakować, gdy większą część roku co wieczór przekreślało się dzień w kalendarzu i liczyło godziny do wyjazdu na wakacye. To było życie ptaka na gałęzi, gotowego każdej chwili do odlotu, a nie ptaka w gnieździe, który pracuje w spokoju, żyje chwilą obecną, nie wyrywa się do przyszłości. Wiele w tym czasie przeżyłam walk duchowych, ogromne dokonały się zmiany w mej duszy, a jednak zachowałam z niego wspomnienie tymczasowości, okresu

przejściowego. Rozmawiałam, myślałam o różnych rzeczach przeważnie doniosłych, górnych, jak zwykle w tym wieku, ale pod tem wszystkiem była ciągle przyczajona jedna myśl, która nagle na pozór bez przyczyny wyskakiwała nad inne — myśl o domu.

Nieraz przychodził do mnie Stefek, gawędziliśmy w pokoju, który zajmowałam z koleżanką, lub szliśmy na przechadzkę. Opowiadał mi o szkole, o profesorach, kolegach, o zamiarach na przyszłość, zawsze pełen energii i zapału. Słuchałam ciekawie, przejmowałam się jego sprawami, lecz gdy umilkł na chwilę, gdy zapadliśmy oboje w zadumę, pytałam na pół świadomie:

— Jak myślisz, co też tam w domu teraz robią?

Rzucał się niecierpliwie:

— Ty zawsze o domu. Przestańże raz być dzieckiem, które nie umie żyć samoistnie.

— Za domem nie mogę.

— Zastanów się, że ten dom prędzej czy później stracisz.

— O, nie mów tak, Stefku.

— Ależ to prawo natury, konieczność, przeciw której nic nie poradzisz, a lepiej żebyś na nią była przygotowana.

— Nie, nie, ja bez naszego domu żyćbym nie mogła.

— Ot gadanie, wysadzisz się z nim razem w powietrze, jak Wołodyjowski.

— Nie wiem, co zrobię i poco mam dziś już o tem myśleć, nigdy nie można przewidzieć przyszłości, tymczasem na szczęście dom jest, i jak tylko nauki skończę, natychmiast do niego na stałe wrócę.

Wzruszył ramionami; dla niego pełnego sił żywotnych, rwącego się w świat szeroki, to moje zadomowienie, wtulenie się w swój kąt, było niezrozumiałe i trochę jakby pogardy godne. Onby za nic nie wrócił na całe życie pod nizki dach rodzinny, do małego miasteczka, a ja wróciłabym z radością, z pośpiechem. Krzątałam się raźno po pokoju, rozpakowując po raz ostatni swój kosz.

— No, już nareszcie koniec memu oddaleniu, teraz się z domu nie ruszę.

Bońcia kiwnęła głową żartobliwie i uśmiechnęła się.

— Czemu się bońcia śmieje?

— Bo ruszysz i ruszysz z radością.

— O nie, to mnie bońcia nie zna. Bońcia myśli, że ja tak, jak inne dziewczęta, radabym po świecie biegać, z balu na bal, z zabawy na zabawę.

— Tego nie myślę, bo wiem, żeś poważna dziewczynka i do domu przywiązana, ale i ty z domu wyfruniesz, i ty.

Uśmiechała się wciąż przekornie, tajemniczo.

— Zobaczy bońcia.

— Zobaczę: przyjedzie piękny kawaler, tatusiowi i mamusi się pokłoni, Aneczkę w rączkę pocałuje, i Aneczka pójdzie za nim, za swoim mężem, na koniec świata, pójdzie z domu rada, ani się obejrzy.

Załechtało mnie coś mile koło serca, zaczerwieniłam się, zaśmiałam.

— Co też bońcia opowiada? Mnie się ani śni zamąż wychodzić, wcale, ale to wcale o tem nie myślę, niech mi bońcia wierzy.

Rzeczywiście nie myślałam. Ktoś wspomni o małżeństwie, a mnie wnet ogarnie słodki niepokój na chwilę, na króciutką chwilę, i mija, i znów jestem tej sprawie obca, daleka. Co prawda, nie miałam czasu na marzenia: pięć godzin lekcyi z Janią, pomoc ojcu przy chorych, a wieczorem trzeba było pracować nad sobą, przygotowywać się dla Jani, kształcić dalej. Ojciec ciągle nowe książki z biblioteki wyjmował, a takie interesujące, że się w nich zagłębiałam całą duszą. Żaden okres mego życia nie zostawił mi poczucia takiej pełni i zadowolenia, jak te kilka lat po powrocie z pensyi. Może dlatego, że nie szarpałam się, nie tęskniłam, żyłam w spokoju i zadowoleniu, miałam pracę zastosowaną do sił, zdolności i upodobania. A może dlatego, że w tym tylko kawałku życia

mój silny instynkt macierzyński był zaspokojony pracą nad Janią.

Ile razy pomyślę »Jania«, zawsze staje mi przed oczyma taka, jaką była wówczas, i wnet uśmiech twarz rozjaśnia, a usta szepcą:

— Ptaszyna – żadna bowiem nazwa lepiej jej nie określa. — Od rana do nocy skakała, fruwała, świergoliła, śpiewała. Rano, jeszcze w półśnie pogrążona, słyszałam, jak podrywała się z pościeli i witała dzień skocznymi trylami. Wnet: chlup! chlup! po podłodze bosemi stopami, i hop! już klęczy na mojem łóżku, i tarmosi mnie, całuje i śpiewa:

— Śpioszku, próżniaczku, dzień! dzień! Słońce wysoko, wstawaj! wstawaj!

Ledwie oczy otworzę, ledwie się do niej uśmiechnę, już jej niema, już okno na ścieżaj otwiera, zima, lato, pogoda czy deszcz, jasną głowinę na dwór wychyla, i nim zdążę przestrzedz, zgromić, już okno zamknięte, już Jania przy umywalni gruby warkocz na głowie zwija, kędziorki podgarnia i prysk! prysk! myć się zaczyna. Myła się zabawnie, jak wróbel w piasku, opryskiwała ściany, podłogę, bieliznę, raz, dwa, trzy, skończyła, i już za ubranie chwytała, i nie ustała na miejscu, jedną pończochę wciągała przy łóżku, drugą już koło komody, a z pleceniem warkocza, z wiązaniem krawata, to i do jadalni wybiegała. I tak cały dzień, ciągle, ciągle. Czasem z podziwem patrzyłam na

nią, skąd jej się siły biorą na takie wartkie życie; mnie już w głowie kręciło się i szumiało od tego wiru i gwaru, który ona wokół czyniła, a mimo to nigdy nie byłam zniecierpliwiona, nigdy nie wzdychałam do chwili spokoju. Może dlatego, że Jania nie była nudna, szablonowa, nigdy nie wiedziało się naprzód, co powie lub uczyni, a takie to wszystko było samodzielne, oryginalne, pełne wdzięku i wesela. Płynęło jej życie, jak muzyka skoczna, radosna, a czysta, muzyka tej minuty, która biegnie, a nie tej, co była lub będzie. Bo Janię przeszłość lub przyszłość nic nie obchodziła, ona żyła całkowicie chwilą obecną. Bywało, opowiadam jej dzieje kraju, zapalam się, mówię o rzeczach podniosłych, pięknych, ona wlepia we mnie szafirowe oczy, mruga ciemnemi rzęsami, jakby całą uwagę skupiła na moich słowach, lecz nagle poczyna podskakiwać na krześle, klaskać rękoma i wołać, a właściwie śpiewać:

— Cudne! cudne! szlachetne, ale to już było, minęło, nie wróci. Nic mnie to nie obchodzi, nic, a nic!

Chciałam ją chwilę zatrzymać przy opowiadanem zdarzeniu, przekonać, że to warte zastanowienia.

— Pomyśl, Janiu, przecież to się działo na ziemi, na której my żyjemy, wśród ludzi, którzy

dali nam życie, stworzyli to, z czego my dziś korzystamy.

— Więc i cóż stąd? Żyli, dali życie, stworzyli coś na ziemi i poszli i już ich niema, już ich nigdy nie zobaczymy, poco o nich mówić? poco? poco?

— Przeszłość pozwala nam zrozumieć teraźniejszość, lepiej pracować dla przyszłości.

— Niczego nie rozumiem, nad niczem się nie zastanowię, będę żyła, jak mi każe to coś, co tam we mnie jest, co mnie popycha do tego, do owego. Ty się możesz zastanawiać, tatuś, mamusia, ale nie ja, nie ja, ja nie umiem, ja nie mogę.

— Jednak, gdybyś spróbowała, nie można tak przez życie przelecieć, jak wicher.

— I wicher potrzebny, wicher robi ruch, odświeża powietrze.

Już była przy mnie, już mną kołysała gwałtownie, odrazu w wicher przeistoczona.

Naraz spokój, cisza. Zatrzymała się, położyła palec na ustach, myśli, a po chwili wolno, wolniutko, jakby nie ta sama Jania:

— Widzisz, ja nie mogę nic przez siłę, przez przymus, ja czynię tak, jak muszę, a nie, jak chcę, lub ktoś chce. Czasem, czasemko, to i ja się nad czemś zastanowię, coś rozważę, ale sama z siebie, jak mnie coś bardzo, bardzo zaciekawi. Ale zmusić

się, nie, nie, nie mogę, to trudno, nie każ mi, nie namawiaj, już tak będzie zawsze, zawsze.

Wnet się do lotu porywa, ledwie we drzwiach mignęła, jak smuga słońca i już jej niema. Była zdolna i w lot pojmowała wszystko, ale nic prawie nie zatrzymywała w pamięci. Ambicya skłaniała ją do sumiennego wykonywania zadań, ale za każdym razem były wykonane inaczej, nie była systematyczna i nie znosiła rutyny. »Już tak raz było«, stanowiło dla niej największe odstraszenie. Nawet w powszednich zajęciach domowych lubiła rozmaitość i podejmowała się tylko tych, które zyskiwały jej uznanie. Zbierała gazety dla staruszków i odnosiła im sumiennie, bo to był »dobry pomysł«. Przytem staruszkowie cieszyli się tak bardzo, a ona lubiła wzbudzać radość wokół siebie. Do gazety dodawała swoje odwiedziny, niemałe rozjaśnienie szarzyzny życia biedaków, To im przeczytała gazetę, to opowiedziała coś zabawnego, to spłatała figla. Codzień witali ją z jednakowym wybuchem wesela i żegnali z jednakowemi błogosławieństwami.

Przez jakiś czas odbierała bieliznę od prania i układała w szafie, ale czyniła to w sposób tak fantastyczny, choć piękny, że mama nie mogła do niczego trafić i poprosiła o trochę więcej ładu; wówczas zbuntowała się:

— Ją nie mogę zawsze tak samo, to nudziar-

stwo, niech już lepiej mama albo bońcia tem się zajmą.

Salon porządkowała z zapałem, ciągle przesuwała meble, przestawiała kwiaty i graciki, ale ojciec nierad ją widział koło swych książek, flaszek i przyrządów, i najczęściej proponował zostawienie porządków w jego pracowni innym, mniej zręcznym i pomysłowym, lecz bardziej systematycznym rękom.

Nakrywała do stołu, ubierała go kwiatami, układała serwety w skomplikowane zagięcia. Wprowadzała w nasze równe, spokojne istnienie zmianę i ruch, to też przez wszystkich kochana, najniezbędniejsza była mamie, która daleka zajęciom umysłowym, musiała urozmaicać sobie życie zdarzeniami zewnętrznemi, a tak ich było niewiele w miasteczku i w domu, że nawet Jania ze swą pomysłowością i ruchliwością przestała sobie wystarczać i nudzić się zaczęła. W ciągu ostatniego roku pobytu w domu nieraz mi się skarżyła:

— Nic się nie dzieje, codzień to samo, ja już wytrzymać nie mogę. Ach, żebyż prędzej jechać do stolicy, tam dopiero będzie życie.

— Aneczko, rzuć tę książkę, opowiedz mi co, albo lepiej wymyśl jaką zabawę, tak się nudzę.

Instynktem kochającego serca wiedziona, przy rodzicach nie zdradzała się nigdy z tem, że jej samotne życie domowe cięży, ale myślę, że ojciec

to widział, bo gdy nareszcie wyjechała na pensyę i na wakacye wróciwszy, po krótkim pobycie zrywała się w świat, do koleżanek, w ruchliwsze okolice, do weselszych niż nasz domów, on jej nie zatrzymywał, rozumiał, że przeciw naturze czynić nie można, nie chciał domu zamieniać jej na więzienie, pragnął, aby zachowała z niego dobre wspomnienia, wracała chętnie, zostawała wedle woli. Mama jednak nie rozumiała jej i starała się prośbą i łzami zatrzymać przy sobie.

— Już nas nie kochasz — wymawiała z urazą. Posiedź dłużej, przecież i nam się coś od ciebie należy.

— Całkiem od domu odwykniesz, zapomnisz o nim.

Jania rzucała się wówczas do jej rąk, zostawała na dzień, na dwa i znów rwała się do innych ludzi, do innych kątów i znów mama zepsuta powodzeniem, rozpoczynała prośby i wymówki. Gdyby nie ojciec, który Janię darowywał wolnością, możeby się zbuntowała, może poszła wbrew kochającemu sercu, a przedewszystkiem, zbrzydziła sobie dom. Żegnała się ze łzami, z obietnicą rychłego powrotu, ale widać było, że tylko przez wzgląd na mamę hamuje objawy radości, że już jej pilno do zmiany.

Koleżanki przepadały za nią i zapraszały w różne strony kraju. Wiedziało się, że nigdzie nie bę-

dzie zawadą lub ciężarem, bo tyle wniesie z sobą jasności, wesela, że każdy ją rad jak najdłużej pod dachem zatrzyma i odjeżdżającą do powrotu zniewoli. Hasała konno po stepach Ukrainy, polowała w litewskich borach, jeździła łódką po Wiśle, w stolicy chodziła do teatru, na zabawy. Wszędzie, gdzie się ukazywała, skupiano się koło niej, ciągnęła ku sobie szczerą, pełną dobroci wesołością; ożywioną, niezwykłą rozmową; oryginalnymi pomysłami. Nie była władzy chciwa, nie opanowywała ludzi wolą uświadomioną, nie była królową. Działała na otoczenie, jak ruch skoncentrowany, który w swój wir porywa i unosi jednostki bezwładne lub mniejszym ruchem obdarzone. Była między otoczeniem, w samym jego środku, lecz nie nad niem, nie górowała, lecz skupiała, i to stanowiło jej życie. Pustka, gdzie nikogo i nic za sobą nie porywała, była jej nieznośną i dlatego w domu, wśród ludzi zapracowanych, nie młodych lub wątłych, którzy byli tylko widzami, lecz nie uczestnikami jej ruchu, ogarniała ją nuda i wypędzała w świat

Nieraz mama mówiła:

— Ach, żeby Jania już raz skończyła pensyę, wróciła do domu, była znów z nami na dobre.

Wówczas mnie ogarniał lęk na myśl, co to będzie, gdy rzeczywiście nadejdzie dla Jani chwila powrotu do domu, zabrania się w nim do jakiejś

pracy stałej, gdy nie będzie miała pretekstu do opuszczania go? Czy wytrzyma w małem, sennem miasteczku, w cichym domu? Napewno nie. Jakież wówczas zmartwienie dla mamy, ile sposobności do nieporozumień między niemi. Mama wrażliwa, niewyrozumiała, Jania prędka, mogą się poróżnić bardziej niż mama ze mną, mogą się rozstać w gniewie na zawsze. Wówczas mama poczuje się w swem mniemaniu skrzywdzona i opuszczona przez obydwie córki, zsunie się w taką przepaść rozżalenia, smutku, że już ją stamtąd wyprowadzić nie będzie sposobu. A Jania co uczyni, gdy się zbuntuje przeciw przymusowi narzuconemu przez mamę, gdy się uzna prześladowaną, niezrozumianą, może niekochaną? Gdzie pójdzie, do kogo się zwróci, gdy opuści dom?

Im bliższą była chwila powrotu Jani, tem częściej, z tem większą obawą myślałam, co się stanie i jak złemu zaradzić?

Nadeszły ostatnie święta Wielkiej Nocy. Jania spędzała je, jak zwykle, poza domem, tym razem w stolicy u koleżanki swojej, Ireny baronówny Lintz. Była to dziewczyna poważna, trochę nieśmiała, z bogatej rodziny pochodzenia kurlandzkiego, spędzającej lato we własnych dobrach na Litwie lub u wód zagranicą, resztę roku we wspaniałych apartamentach w stolicy. Przyjaźniła się z Janią od kilku miesięcy, zapraszała na każdą

niedzielę do siebie, zabierała do teatru, na przechadzki, na wieczorki, nie umiała się bez niej obejść. Jania była zachwycona nią i jej rodziną, zapisywała całe strony listów wiadomościami o tych ludziach »najkulturalniejszych, najmilszych na świecie«.

Widocznie i oni żywili dla niej sympatyę, gdyż zaprosili na całe święta do siebie.

— Dzięki Bogu, że to już ostatnie święta bez Jani — mówiła mama, gdyśmy się dzielili jajkiem wielkanocnem — a następnych dni wyczekiwała z niepokojem listu z wiadomością: »jak też tam dziecina spędziła święta u obcych«.

Przyszedł wreszcie list oczekiwany, ojciec rozerwał kopertę, wyjął arkusik, tylko pierwsza jego kartka była zapisana.

— Taki krótki! — wykrzyknęła mama z rozczarowaniem.

Tknięta przeczuciem, podeszłam do ojca, czytał list na głos, zatrzymując się przy każdem słowie zdumiony. Jania donosiła, że się jej oświadczył baron Henryk Lintz, że on jest »strasznie miły« i ona go »okropnie kocha«, ale nie chce się zaręczyć bez tatusia, więc niech tatuś pręciutko przyjedzie, oni bardzo, bardzo oboje proszą i »mamunia Lintz« także.

»Mamunia Lintz« ubodła mamę w serce; do tej

pory zasłuchana w słowa listu zdumiona, lecz spokojna, w tem miejscu rozpłakała się:

— To już i nie mamy naszej Jani — wykrzyknęła.

— Muszę jechać — rzekł ojciec.

Mama po wypłakaniu pierwszych łez, poczęła się krzątać koło przygotowania domu na przyjazd narzeczonych. Zapomniała na razie o stałej niechęci do mnie i co chwila przychodziła po radę, jak przystroić salonik, które meble wstawić do pokoju barona Lintza, aby mu się nie wydało u nas zbyt ubogo po jego pałacach. Ciągle zarzucała mnie pytaniami:

— Jak myślisz, czy przyjadą oboje z ojcem, czy tylko Jania, a narzeczony później?

— Czy baronowa niedługo się wybierze z podziękowaniem za syna?

— Czy też oni niebardzo dumni? Chyba nie, skoro naszą Janię tak pokochali i chętnie do rodziny przyjmują. Ale bo też Jania nie za barona, ale za księcia wyjśćby mogła, taka śliczna, wykwintna, miła, inteligentna, dowcipna, nawet na królewskim dworze znaleśćby się umiała.

— Myślę i myślę, skądby tu wziąć pieniędzy na wyprawę, ojcu ciężko, a przecież nie możemy dziecka puszczać z domu w jednej sukience, zwłaszcza do takich bogatych ludzi, dopierożby z niej dworowali.

— Moja mamo, mnie się zdaje, że jeśli oni prawdziwie Janię kochają, to jej wyprawa nie będzie miała dla nich znaczenia i nie będą w niej szukali powodu do upokarzania Jani. Gdyby mama mogła ich posądzić o podobny brak szlachetności, to lepiej do tego małżeństwa nie dopuścić.

— Ty zawsze recytujesz jak z książki, ty zawsze mądra i krytyczna.

— Wierzę w szlachetność ludzką, nie podejrzewam ich o małostkowość.

— Naturalnie, tylko ja szlachetności nie dojrzę, a wszędzie widzę małostkowość.

Nie chciałam mącić radosnych chwil oczekiwania na Janię, więc rzekłam pojednawczo:

— Moja mamo droga, poco takie przypuszczenia? Mnie się zdaje, że jeśli mama w tym razie odnosi się nieufnie do państwa Lintzów, to przez lęk o szczęście Jani, którą mama tak bardzo kocha.

— Pewnie, że kocham i ona mnie kocha i szanuje, bo to dobre i skromne dziecko, jej stolica i powodzenie u ludzi nie przewróciły w głowie.

Milczałam, widząc, że wszystko, co powiem, będzie tłomaczone opacznie. Mama westchnęła ciężko i wyszła z pokoju.

Po czterech dniach wrócił ojciec sam.

— A narzeczeni? — wykrzyknęła mama z rozczarowaniem.

— Jak widzisz nie przyjechali.

Ojciec był spokojny, nawet starał się uśmiechać, ale w głębi oczu czaił mu się jakby smutek.

— Kiedyż przyjadą? — nagliła mama.

— Nie wiem. Tymczasem pani Lintz Jani puścić nie chce, Jania się temu nie sprzeciwia, a narzeczony naturalnie tam, gdzie ona.

— Jakiem prawem baronowa Jani nie puszcza? — zaczęła się mama unosić.

— Jest wątła, nie może odbyć tak dalekiej i niewygodnej podróży, jaka ją dzieli od stolicy do nas, a Janię tak kocha, że nie chce się z nią na dłużej rozstać, zwłaszcza teraz, rychło po zaręczynach.

— My chyba mamy większe prawo, aby nasza córka po zaręczynach była z nami.

— Myślmy o naszych obowiązkach, a nie o prawach, mniej będziemy mieli przez to zawodów w życiu. Zresztą tutaj decydującą mogła być tylko wola Jani.

— Jania jest dzieckiem dobrem i miękkiem, gdy ją gwałtem zatrzymano, nie śmiała się opierać.

— Pani Lintz jest osobą zbyt delikatną, aby komuś gwałt zadawać; prosiła Janię, a Jania mogła się zgodzić lub nie.

— Przecież Jania nas bardzo kochała.

— I nie przestała kochać, ale w tej chwili jest tak zajęta narzeczonym, że o nikim poza nim i jego

rodziną myśleć nie może; jak ochłonie, przypomni sobie o nas i przyjedzie.

— A jak on się tatusiowi podobał? — wtrąciłam, chcąc przerwać niemiłą rozmowę.

— Zdaje się, że dobry człowiek, delikatny i Janię bardzo kocha.

— Czy inteligentny?

— Dosyć, w każdym razie dla Jani wystarczy, ona nigdy nie miała zbyt wysokich pod tym względem wymagań.

— Takie dziecko — ujęła się mama.

— Ona całe życie będzie miłem, wesołem dzieckiem. Prawdziwe to szczęście dla niej, że przez małżeństwo zdobędzie warunki, odpowiadające jej naturze. Pan Henryk Lintz zrobił na mnie wrażenie człowieka powolnego, mało stanowczego, energia i ruchliwość Jani mogą na niego oddziałać zbawiennie.

— Piękny, młody, elegancki? — pytała mama.

— Przystojny, trzydzieści pięć lat, dobrze ułożony, dobrze ubrany.

— Czem się zajmuje? — zagadnęłam.

— Trochę sztuką, trochę literaturą, gra na fortepianie, tłomaczy poezye angielskie, bawi się w mecenasa.

— To dla przyjemności, ale jaki jest jego zawód?

— O moja Aneczko, stawiasz zbyt wygóro-

wane żądanie, zawód u takiego panicza. Ma pieniądze, więc nie pracuje, to przecież zwykła kolej rzeczy. Zresztą nie analizujmy zbytnio narzeczonego Jani i jego rodziny, to wam mogę powiedzieć, że zrobili na mnie wrażenie ludzi uczciwych, dobrych i kulturalnych, a nadewszystko do Jani bardzo przywiązanych i o ile mnie się zdaje, to Jania będzie wśród nich szczęśliwa, a przecież o to nam powinno przedewszystkiem chodzić.

W kilka tygodni później baron Lintz odwiózł matkę i siostrę do Karlsbadu, a Jania przyjechała do domu. Widziałam ją wówczas po raz ostatni i muszę przyznać, że zostawiła mi z tych dni wspomnienie jak najlepsze i najmilsze. Zdawała się zapominać o sobie i swem nowem szczęściu, pochłonięta żegnaniem blizkich ludzi i kątów. Ciągle była z nami, usłużna, pieszczotliwa. Pakowała swoje drobiazgi nieznacznie, aby nie ranić naszych serc tym ostatnim odlotem. Nie rwała się do odjazdu ze zwykłą skwapliwością, ledwie wspominała o nim w projektach, ale gdy po dziesięciu dniach przyszedł list od narzeczonego już ze stolicy, przymiliła się mamie o wspólną podróż po wyprawę. Ponieważ wyjeżdżały razem, więc mama zwykle zatrzymująca ją w domu, teraz nagliła do wyjazdu, ciągnięta pragnieniem poznania przyszłego zięcia i spędzenia z narzeczonymi miłych dni w stolicy.

Wystarczy mi przymknąć oczy, aby się ujrzeć

znowu z ojcem i bońcią przed bramą domu w chwili odjazdu Jani. Bryczka toczyła się szybko, jakby posłuszna pragnieniu dziewczyny, na rogu skręciła gwałtownie, wiatr szarpnął błękitnym woalem Jani, zakrył nim jej twarz, ona podniosła ręce, aby go usunąć, by raz jeszcze spojrzeć ku nam, lecz nim zdążyła to uczynić, już znikła z naszych oczu. Wówczas ojciec wsunął prawą rękę w kieszeń, schylił głowę i poszedł ku domowi, a bońcia i ja za nim.

W pierwszych dniach lipca odbył się ślub Jani z baronem Lintzem w stolicy, po którym wyjechali za granicę i rzadko potem wracali do kraju. Czasem gdzieś z Riviery lub Szwajcaryi przychodził list od Jani pełen wybuchów tęsknoty, zapytań szczegółowych o rodzinę i dom, zapewnień, że gdy tylko wróci z zagranicy, natychmiast do nas przyjedzie na długo, na bardzo długo, aby się nami nacieszyć, pożyć naszem życiem, poczuć się znowu naszą, lecz, gdy znalazła się w kraju, wnet pochłaniało ją tyle spraw, tyle wrażeń, iż przyjazd do domu odkładała z dnia na dzień, aż i ruszała znowu w świat szeroki, nas nie odwiedziwszy.

Z początku zatrzymywała ją mama Lintz, Irena, przebudowa pałacu na Litwie, potem córeczki, których trzy powiła w ciągu pierwszych sześciu lat małżeństwa. Czekaliśmy na nią ciągle i nie docze-

kaliśmy się; rodzice pomarli, ja jestem blizka grobu i pewno w nim spocznę, a Jani nie zobaczę.

Przez tydzień lało bez przerwy, stan mego zdrowia tak się pogorszył, że się już czułam blizką śmierci. Od dwóch dni słońce świeci i grzeje moje schorowane członki, nie może jednak rozproszyć chłodu śmierci, która się czai w pobliżu. Staram się czytać, myśleć o życiu, nie mogę, wciąż i wciąż śmierć muska mi swemi skrzydłami głowę i grobowych dumań napędza. Zanurzam się we wspomnieniach, w tej krainie kochanej, w której błądzę teraz tak często i tam napotykam jeno chwile rozstań śmiertelnych, pożegnań wiecznych. Ojciec, mama, bońcia, snują się wokół mnie, nie, jak istoty żywe, lecz jak cienie z za grobu. Widzę ich blade, nieruchome twarze po skonie, sztywne postacie, ręce bezwładnie złożone na piersiach. Czuję się jakby z tamtej strony życia, jakby już z nimi i nie to, aby mi wśród nich było źle lub obco, lecz jeszczebym chciała trochę zamarudzić na ziemi, przystanąć na chwilę przy wspomnieniach życiowych, przy tem, co ma czar trwania, ruchu, beztroską niewiadomego, niemyślonego kresu. Jeszcze widocznie jest we mnie trochę sił, jeszcze mi nie pora odchodzić, skoro mnie spokój grobu nie nęci.

Jeśli mi jednak inaczej sądzone, jeśli ma się stać nie podług mego wewnętrznego porywu, lecz zgodnie z przeznaczeniem, niechbym choć miała śmierć taką, jak bońcia. Pragnęłabym, jak ona, umierać z całą świadomością, że to już koniec, ze spokojem i dostojeństwem. Pierwsza to była śmierć, jaką widziałam, i najpiękniejsza.

Umarła bońcia wiosną, po ślubie Jani.

Wcześnie jeszcze było, ziemia tchnęła surowym oddechem, ruń ozima dopiero przeciągała w słońcu źdźbła drobne, długim snem zdrętwione, czerń drzew ledwie się poczynala zielenić pąkowiem, w ciepłych godzinach dnia skowronek już dzwonił nad polem w błękitach, ale koło domu trzepały się tylko wróble, na ogrodowych śpiewaków było zawcześnie. Ziemia nie rwała się jeszcze do życia całym pędem sił nagromadzonych w ciągu długich miesięcy wypoczynku, lecz poczynała dopiero budzić się z zimowego stężenia.

Bońcia tej zimy bardzo się postarzała, jej okrągła, różowa twarzyczka wydłużyła się, pomarszczyła i zżółkła, plecy skuliły się garbem, ręce drżały, niosąc jadło do ust, a bezzębne, zapadnięte usta żuły długo, jakby im to już trudno było i niepotrzebnie. Przygłuchła też, nieraz trzeba było jedną rzecz dziesięć razy powtarzać, zanim rozjaśniła twarz uśmiechem zrozumienia. Pamięć również wypowiedziała jej służbę, bywało, zacznie coś

opowiadać żywo, zabawnie, jak to ona zawsze, i nagle urywa i czerwieni się zafrasowana:

— Co też ja mówiłam?

Podsuwamy jej słowa.

— Tak, tak — przyświadcza — to o tem, ale dalej nie mówi, już jej się wątek myśli splątał, już niemocna rozwikłać go i dalej snuć, więc głowę nizko chyli, palcami po stole przebiera, zawstydzona, zgnębiona, jakby ją kto zburczał.

Po nocach sypiać nie mogła, nieraz już na pół snem zmorzona jeszcze słyszałam, jak się w pokoiku obok na łóżku kręciła i wzdychała, a rankiem szarym wypadkiem zbudzona, już ją słyszałam drepczącą pomaleńku z monotonnym szeptem rannych pacierzy.

— Czemu to bończia tak rano wstaje — napominałam ją kiedyś — jeśli bończia spać nie może, to niechby chociaż w łóżku poleżała i odpoczęła?

— Odpocznę ja niedługo, odpocznę, już się nie będę z posłania zrywała, ni do roboty śpieszyła.

Udałam, że nie rozumiem.

— Bończi już teraz byłaby pora wytchnąć, dość się bończia w życiu napracowała. Poleżałaby sobie bończia choćby do dziewiątej, potem w fotelu wygodnie siadła z pończochą, czy z pasyansem, a krzątaninę mamie i mnie zostawiła.

— Moja Aneczko, ja tak w połowie to nic robić nie umiem, póki żyję i ruszać się mogę, to

i pracuję, a jak spocznę, to na wieki wieków, amen.

— Wszyscy tak spoczniemy, ale to nie powód, aby i za życia nie wytchnąć trochę.

— Pewno, że wszyscy, ale komu rychło, to niech jeszcze się po ziemi porusza.

— Jakto, bońci pilno? — zażartowałam.

— Pilno, nie pilno, a Boża wola i już.

— Dawał to znać Pan Bóg bońci?

— Ty sobie żartuj, Aneczko, Bóg ci zapłać, bo z dobrego serca tak czynisz, ale co Boża wola, to Boża wola i już nie odmienisz, żartami nie opóźnisz. I mnie nie żal, gotowa jestem, choćby i dzisiaj, nie zadziwię się i nie zlęknę.

— Bońciulka niedobra, takie smutne rzeczy mówi.

Podeszła do mnie, pogłaskała po głowie.

— A tobie Aneczko męża poczciwego uproszę za twoje złote serce.

Wysunęła się z pokoju, a ja odtąd patrzyłam na nią, jak na osobę, która się wybiera w daleką, trudną podróż i przejmował mnie szacunek dla niej i obawa, czy się nie zatrwoży, czy podoła?

Z wiosną jakoś ożywiła się trochę, wychodziła nieraz na słońce, podnosiła w górę trzęsącą się głowinę, patrzyła w błękit, a uśmiech marszczył jeszcze bardziej jej zwiędłą twarz.

— Dobre słońce — mówiła — aż człowiekowi

krew szybciej płynie, gdy się w niem wygrzeje, to nie to, co piec.

Przynosiłam jej krzesło.

— Niech bońcia posiedzi, słońcem się nacieszy, zaraz będzie raźniejsza.

Ofukiwała:

— Co też Aneczka wymyśliła, czy to ja hrabina, albo księżna jaka, żebym się w słońcu rozsiadywała, czy to roboty niema, albo ja ostatnia niedołęga?

Wnet do domu szła i poczynała się krzątać po pokojach, chociaż z tej krzątaniny już i niewiele pożytku było. Jednak ufniej na nią spoglądałam i myślałam:

— Ej nie, jeszcze nie odejdzie, jeszcze z nami pozostanie rok, dwa, może dłużej, tak ot zima ją przygnębiła, więc się trapiła smutnemi przeczuciami, ale niech wiosna rozpanuje się na dobre, to i jej sił przybędzie.

Aż pewnego wieczora, gdy już zasypiałam, zbudziło mnie jakieś ciche, niewyraźne wołanie. Siadłam na łóżku, nasłuchiwałam, nic, cisza. Widocznie mi się zdawało, i już miałam się położyć, gdy z bońci pokoju doleciało mnie ledwie dosłyszalne:

— Aneczko!

Zerwałam się na równe nogi, otworzyłam drzwi,

ciemno, cicho, od strony łóżka płynie oddech słaby.

— Bonciu! — zawołałam półgłosem.

Poruszyła się.

— To ty, Aneczko? — zapytała jakimś dziwnym, stłumionym, jakby z oddali dochodzącym głosem.

Zatrwożyłam się.

— Bońcia wołała?

— Może cię zbudziłam?

— To nic, ale co bońci jest?

— Słabo jakoś, myślę, że już koniec, a zapałek znaleźć nie mogę.

Podeszłam po omacku do stolika nocnego, znalazłam zapałki na zwykłem miejscu, zapaliłam świecę, a gdy przy jej migotliwem świetle spojrzałam na bońcię, nie mogłam opanować wzruszenia: żółta była, oczy wpadły jej pod czoło, usta zakurczyły się do środka niby jama.

— Pójdę po tatusia — rzekłam.

— Nie, nie, nie budź go, niech się wyśpi do syta, mało to się w dzień napracuje?

— Kiedy bońcia źle wygląda.

— Bo już na mnie przyszła pora, już mi i tatko nie pomoże, chociaż taki uczony i mądry, Boże mu pobłogosław.

— Ale ja tak bońci nie mogę zostawić bez żadnej pomocy.

— Daj pokój, Aneczko, daj pokój. Rankiem, gdy się rozwidni, to zbudź, kochanie, Karolinę, i pchnij ją po księdza wikarego. Niech jeno nie turbuje proboszcza, co się ma tak wcześnie zrywać, a wikary młody i prymaryę odprawia, to mu i mała fatyga do mnie przyjść, a także święty człowiek, duszy odchodzącej pomoże się oczyścić, nim na sąd Boży stanie.

Zadychiwała się, mówiąc, i głos jej chwiał się tak, jak płomień na wietrze, myślałam, że ścichnie nagle i już na zawsze, więc rzekłam:

— Może bońcia chce księdza zaraz, to bońcię uspokoi.

— Nie, nie, już mi Matka Najświętsza dozwoli, że ranka doczekam i o słoneczku ziemię pożegnam, aby się moja dusza po ciemku nie błąkała, kiedy już to grzeszne ciało porzuci. A uspokojenia, to mi nie trzeba, nie lękam się nic i już mi raźniej, odkąd świecę zapaliłaś. Bóg ci zapłać, Aneczko, daruj, że cię budziłam, i wróć do łóżeczka, przytul się, zaśnij, a jak się rankiem obudzisz, to po księdza poślij. Ja sobie tymczasem przez noc rachunek sumienia zrobię, bo to widzisz na ostatniej spowiedzi grzechy z całego życia trzeba wyznać, a przez tyle lat sporo się uciułało.

Istotnie jakoś poraźniała, mówiła wyraźniej, i twarz jej nabrała trochę życia, jednak nie sporo mi było ją tak samą zostawiać.

— Wezmę szlafrok i posiedzę przy bońci — rzekłam, kierując się do swego pokoju.

— Pocóż się będziesz dla mnie trudziła, i tak sił nie masz nad miarę.

— Już niech bońcia pozwoli.

— Jak chcesz, kochanie Prawda, że to już i ostatnia nocka, niechże się i moje oczy tobą nacieszą.

Otulona w szlafrok siadłam przy niej. Ona zapadła w rozpamiętywanie, ale jej widać myśli gładko nie płynęły, bo często marszczyła czoło, poruszała głową, jakby zniecierpliwiona, wreszcie zwróciła na mnie oczy proszące.

— Wyświadcz mi jedną łaskę, Aneczko; wiem, że ci będzie nie po myśli, ale to już ostatnia, więc nie odmawiaj, Pan Bóg ci nagrodzi.

Zerwałam się z krzesła.

— Wszystko, czego bońcia chce.

— Otóż widzisz, jakoś mi się myśli plączą, widać tak przed skonaniem głowie trudno pracować, nie mogę ani rusz zrobić rachunku sumienia na pamięć, a po nocy przy świeczce nie przeczytam i ręce się trzęsą, książki nie utrzymam, więc zrób to dla mnie, weź tę książkę grubą, czarną, która leży na komodzie, otwórz, gdzie założone fioletową wstążeczką i przeczytaj mi modlitwy przed rachunkiem sumienia, a potem sam rachunek, wolniutko, z zatrzymywaniem, abym mogła

zastanowić się i przypomnieć sobie grzechy dokładnie.

Nagle się zafrasowała.

— Ale może tobie, Aneczko, będzie przykro, że to ty sama przecież nie praktykująca?

— Co bońcia znowu! Z największą chęcią przeczytam wszystko, co bońcia zechce i jak zechce.

Wzięłam książkę z komody, siadłam przy łóżku i wolno, uroczyście, czytałam po kolei te niegdyś tak znane, tak wzruszające modlitwy i zapytania. W ciszy nocnej, przy słabym blasku świecy, ta twarz staruszki zasłuchana, skupiona, te obwiniające zdania, wzbudziły we mnie wrażenie, że istotnie odbywa się sąd jakiś ważny i ostateczny nad kimś, co przewinił. Gdy skończyłam rachunek sumienia, czekałam, aż bońcia myśli swe ułoży, i zapytałam:

— Może jeszcze raz, bońciu, od początku, może bońci trudno było tak za pierwszym razem wszystko przypomnieć sobie i zapamiętać?

Uśmiechnęła się wdzięcznie:

— Kiedyś już taka dobra i chcesz starej dogodzić, to przeczytaj z łaski swojej.

Po rachunku sumienia czytałam modlitwy przed spowiedzią, a potem z własnego natchnienia »Rozmyślania przed Najświętszym Sakramentem« Bossuet'a, niegdyś moją najulubieńszą modlitwę, na

każdej mszy z niesłabnącym zachwytem odczytywaną. Wraz z jej słowami drgać poczęło w sercu echo dawnych wierzeń, dawnych umiłowań, dawnych wzruszeń tkliwych, kojących i w porównaniu z sobą dawną, tak pewną tego, co było, jest i będzie, ufną w dobroć, opiekę, myśl o mnie Kogoś, kto jest bez skazy, bez słabości, Kogoś, do kogo można się zwrócić w każdym smutku, w każdem zachwianiu, ja dzisiejsza, pogrążona w otchłani ciągłych zapytań bez odpowiedzi, ciągłych wątpliwości, ciągłej walki duchowej, ja, samotna w myślach i uczuciach, ja, tylko na siebie liczyć mogąca, otoczona ludźmi równie jak ja słabymi i niewiedzącymi nic, bez nikogo nad sobą, do czyich stóp mogłabym się korzyć i tulić, wydałam się sobie w tej chwili, wobec tej śmierci nadchodzącej, przeciw której nikt i nic poradzić nie mógł, ubogą, bezsilną, nieszczęśliwą nad wszelką miarę i prawie przypaść mi się chciało do kolan bońci, jak w latach dzieciństwa, uczepić jej rąk i błagać o pomoc i opiekę, bo ona w swem wzniosłem złudzeniu niezachwiana stokroć była bogatsza, mocniejsza i szczęśliwsza. Dla mnie czytane modlitwy były tylko piękną poezyą, kołyszącą duszę do pięknych marzeń bez podstaw; dla niej prawdą, na której opierała się, jak na czemś, co nie zawiedzie i zawieść nie może.

Ona wiedziała, że idzie w światłość, w szczę-

ście wieczyste, ja, gdy na mnie przyjdzie chwila ostatnia, pójdę w mrok, a właściwie nie pójdę już nigdzie, proch mój spocznie w ziemi cmentarnej, obok prochów rodziców, a ja skończę się, przeminę na zawsze, jak tylu przede mną i po mnie.

Dla niej to była tylko zmiana z gorszego bytowania na lepsze, dla mnie — śmierć zupełna. To też nie wiem, czy, gdy przyjdzie moja ostatnia godzina, będę umiała witać ją z równym spokojem, jak bońcia. Dziś, gdy myślę o śmierci blizkiej, zdaje mi się, że mnie nie trwoży, gdy jednak staje się tak blizką, że prawie pewną, zwracam się ku życiu błagalnie, chwytam jego szat spragnionemi istnienia rękoma. Może poczucie rzeczy nieodwołalnej da mi godność potrzebną na jej przyjęcie, lecz to będzie rozumne poddanie się, nie pełne ufności odejście w szczęśliwe jutro, jak śmierć bońci.

To wiem, że wówczas w ową noc ostatnią bońci, patrzyłam na nią z podziwem, a o moim zdawało się dalekim końcu myślałam z przerażeniem. Czytałam jednę modlitwę po drugiej, jakbym spodziewała się w ich słowach wierzących i kornych znaleźć ukojenie dla siebie. Bońcia słuchała z początku uważnie, lecz później widocznie znużona, utopiła oczy w przestrzeni, a rękoma poczęła przesuwać po kołdrze. Już nie łudziłam się nadzieją życia dla niej, ten ruch rąk umierających,

o którym nieraz słyszałam, pozbawił mnie ostatniej wątpliwości. Czy one tak po omacku szukają drogi w mroku, w którym się grążą, te ręce konające? Czy chcą się jeszcze nasycić dotknięciem rzeczy ziemskich, nim spoczną na wieki? Czy może nie kierowane już spowitym w mgły mózgiem, a nawykłe do ruchu, tak oto błądzą bez celu?

Przestałam czytać, bońcia nie spostrzegła tego i dalej snuła rękoma niewidzialną przędzę śmierci. Zapatrzona w tę kochaną, blizką, a odchodzącą na wieki istotę, nie biegłam myślą nigdzie i do nikogo, i tak płynęły godziny nocy. Dźwięk dzwonu na prymaryę wyrwał mnie z zadumy, jednocześnie i bońcia zwróciła na mnie przytomne oczy, przestała poruszać rękoma i rzekła słabym, ale naturalnym głosem:

— Już dzwonią na prymaryę, możebyś posłała Karolinę po księdza.

Poszłam spełnić jej polecenie, a wyprawiwszy wzruszoną nagłem zasłabnięciem bońci dziewczynę na wikaryat, wstąpiłam do rodziców, aby ich zbudzić. Gdy wróciłam, bońcia przywitała mnie badawczem spojrzeniem.

— Poco chodziłaś do rodziców?

— Uprzedziłam ich, że ksiądz do bońci przyjdzie, byłoby im przykro, gdyby przy tem nie asystowali.

— Tyle się napracują i jeszcze ich dla mnie trudzisz.

— Moja bońciu, toć to chwila wyjątkowa.

— Zawszeć jednak nie chciałabym się im na ostatku naprzykrzyć.

— Może bońcia chce się trochę ogarnąć — zaproponowałam.

Zgodziła się skwapliwie, chciała sama wdziać czystą bieliznę, przyczesać włosy, ale była tak słaba, że musiała się zdać na moje ręce. Ogarnęłam ją, ułożyłam na czysto powleczonych poduszkach, a potem zabrałam się do przygotowania stolika z potrzebnymi na ostatnie odwiedziny księdza przedmiotami.

Wbiegła mama, wzburzona, zafrasowana.

— Moja bonieczku, co to bońci jest?

— Nic mi nie jest, tylko odejść pora.

— Boli co bońcię?

— Boleć nie boli, ale serce ledwie się kołacze.

— Zaraz pan przyjdzie, da bońci jakie lekarstwo, serce się wzmocni i będzie po strachu.

Wszedł ojciec, zbliżył się do bońci, wziął ją za puls, potem wyciągnął słuchawkę z kieszeni, przyłożył do serca i badał.

— Cóż takiego? — zapytała mama, gdy skończył.

Machnął ręką niewyraźnie, ale z jego oczu wyczytalam, że już wyrok na boncię wydany.

— Prawda, że koniec? — rzekła boncia.

— Moja bonciu, nic przewidzieć nie można, serce jest bardzo osłabione, ale w bonci wieku nieraz się to zdarza, a potem przychodzi polepszenie i żyje się jeszcze długo, więc nie ma się czem naprzód niepokoić.

— Ja nie ze strachu pytam, tylko tak, aby się upewnić. Wiem, że mi już pora odejść i nie wzdrygam się.

Ojciec położył jej rękę na dłoniach i rzekł serdecznie, a żartobliwie:

— Boncia zawsze była zuch, co?

— Bo i pewno — rozjaśniła się, a ojcu powieki zadrżały i podszedł do okna, by ukryć wzruszenie.

Dzwonek w sieni uprzedził nas o przybyciu księdza, mama wybiegła na jego spotkanie i wprowadziła do pokoju bonci. Złożył bursę na stole i siadł przy chorej, by ją wysłuchać spowiedzi.

Gdyśmy wyszli do mego pokoju, mama zwróciła się żywo do ojca:

— Czy naprawdę sądzisz, że to już koniec?

— Myślę, iż nie przeżyje dzisiejszego dnia.

— Przecież nie chorowała?

— W tym wieku można umrzeć bez choroby, przychodzi wyczerpanie serca i koniec.

— Przykro tak jej dać umierać bez żadnego ratunku, zastrzyknąłbyś chociaż kamforę.

— Poco? Umiera z przytomnością i spokojem, kamfora pozbawiłaby ją tego, a przeciągnęła życie nie o wiele.

Wsparłam głowę o framugę okna i płakałam, przejęta głębokim żalem, że oto ta kochana, słodka bońcia odchodzi już na pewno i bez powrotu. Ojciec podszedł do mnie, położył mi rękę na ramieniu i rzekł:

— Nie płacz, zmartwisz bońcię, a jej dobrze.

— Tak, ale bez niej będzie źle. Tyle lat, jak tylko zapamiętam, zawsze u nas była i taka dobra, kochająca.

— Zostanie piękne wspomnienie.

— Jednak ciężko.

Mama szlochała głośno przy stole.

Skończyła się spowiedź, zadzwoniono, wróciliśmy do bońci, miała twarz jeszcze bardziej zmienioną, widocznie wyczerpał ją wysiłek spowiedzi. Podczas następnych obrządków leżała bez ruchu, jak nieprzytomna, dopiero, gdy ksiądz wyszedł, gdy mama siadła przy łóżku i ujęła jej rękę, a ojciec i ja stanęliśmy w nogach łóżka, zwróciła na nas przytomne oczy, patrzyła chwilę na mamę, na ojca, zatrzymała wzrok na mnie i poruszyła ustami, jakby chciała coś powiedzieć, ale widać głosu jej nie stało. Pochyliłam się ku niej:

— Czego bonieczka sobie życzy?

Poruszyła usta lekkim uśmiechem i poszła oczyma w stronę okna.

— Okiennicę otworzyć?

Skinęła głową.

Spełniłam jej wolę, czerwone światło wschodzącego słońca opromieniło pokój.

— I okno?

Znów skinienie.

Do pokoju wpadła fala rzeźwego powietrza i świergot witających dzień wróbli.

Blask słoneczny, zapach roli i głosy ptaków, to było życie, to był hymn ziemi na cześć istnienia, dla bońci to była pieśń pożegnania. Leżała z twarzą zwróconą ku oknu, uśmiechnięta, z oczyma zgubionemi w dalekościach, a wolną ręką błądziła po kołdrze.

— Możeby gromnicę? — zachlipała żałośnie z kąta Karolina.

Mama wyszła szybko z pokoju, a ja zbliżyłam się do łóżka, siadłam obok i ujęłam opuszczoną rękę bońci, bo zdawało mi się, że w tej ostatniej chwili dobrze jej będzie czuć kogoś przy sobie. Zwróciła na mnie tkliwe spojrzenie, ścisnęła za rękę i w tej chwili ustami chwyciła szybko powietrze, westchnęła głęboko, głowa jej się zachybotała i opadła na piersi.

Pochyliłam się ku niej, już ojciec był przy mnie, ujął jej rękę.

— Skończyła — rzekł półgłosem.

Karolina zaniosła się szlochem.

— Cicho! — zgromił ją niemal szeptem.

I tak chwilę jeszcze był spokój i dostojeństwo śmierci nad tą głową staruszki skąpaną w słońcu, owianą tchnieniem wiosny, zgasłą na zawsze. Trwaliśmy pochyleni nad nią, zapatrzeni w tę istotę zda się jeszcze blizką nam, jeszcze obecną.

Weszła mama z zapaloną gromnicą.

— Umarła — jęknęła Karolina.

— Co? co?

Mama podbiegła do łóżka, usunęliśmy się, chwyciła bońcię za rękę, pochyliła się do jej twarzy i wybuchnęła płaczem.

— Pójdę do księdza — rzekł ojciec.

Ja zamknęłam się w swoim pokoju, siadłam w otwartem oknie i płakałam.

Z sąsiedniego pokoju dochodził gwar i krzątanina.

Już tam nie było mojej cichej, dobrej bońci.

Przeglądałam dziś te kartki i spostrzegłam ze zdziwieniem rzecz jedną: oto wśród powtarzających się często imion kochanych, rodziców, rodzeństwa, bońci nie wspomniałam ani razu imienia Bolka.

Stało się to nieumyślnie, lecz odruchowo i pragnęłabym bardzo zrozumieć, dlaczego tak się stało? Przecież co rano pierwszym wyrazem, jaki szepczą me usta, jest właśnie jego imię, zasypiam z tęsknem: »Śpij smacznie, Bolku«, posłanem w mrok i dal. A w ciągu dnia ileż razy staje mi przed oczyma ta twarz różowa, otwarta, wesołe, szafirowe oczy, zwichrzona, płowa czupryna, i cała ta postać junacka, hoża, od której bije młodość i życie. Nie zapomniałam go i zapomnieć nie mogę, więc czemu ni razu o nim tu nie wspomniałam? Czy jest mi zbyt istotny, zbyt świeżo w sercu i myśli obecny, abym go już do wspomnień liczyła? Czy może znużona chrobą, śmierci blizka, odruchowo unikałam rzeczy silniej mną wstrząsających, chętniej potrącałam o sprawy bardziej oderwane, bardziej duchowe, które serce kołyszą, czasem lekko podrażnią, lecz nie szarpią? A przecież Bolek i to wszystko, co z nim przeżyłam, dziś jeszcze do łez mnie wzrusza, krew do serca pędzi. Sprawa najbardziej osobista, najbardziej moja i dlatego, skoro raz mówić o niej zaczęłam, trudno mi będzie ją poniechać, trudno gdzieindziej myśli zwrócić. Wymówiłam: »Bolek« i już mi jak zaklęte, wszystko, co nim nie jest, przepadło, już tylko on w myśli obecny i tylko o nim teraz mówić mogę.

Przewędrowałem setki i tysiące razy ścieżkę

tego wspomnienia, upieściłam na niej uśmiechem wszystko, co dobre, oblałam łzami bolesne. Powtórzyłam w dumaniu niezliczone razy wszystkie wydarzenia, wszystkie słowa, każde spojrzenie, każdy wyraz twarzy, od najdrobniejszych do najdonioślejszych, wszystko, co ma z Bolkiem jakikolwiek związek. Innych ludzi, inne zdarzenia pokryła lekka mgła oddalenia, on i tamte dzieje tak mi wyraźne, jakby oto tu przede mną obecne, myśl dziś wypełniające.

Tak mi on zajął myśli i serce, taki się stał duszy mej niezbędny, że wierzyć się nie chce, iż kiedyś nie znałam go, nic o nim nawet nie wiedziałam, a przecież już byłam nie taka młodziutka, gdy o nim po raz pierwszy usłyszałam. Już Jania dawno zamąż wyszła, już bońcię opłakałam, już z mamą spędziłam długie, smutne miesiące, na ciągłych próbach zbliżenia się, porozumienia, zawsze jakimś nieostrożnym wyrazem, zbyt żywem zachowaniem udaremnionych.

Póki jeszcze krzątałyśmy się oddzielnie każda koło swych zajęć, póty nie ciążyła nam nasza samotność we dwie, lecz, gdy siadłyśmy nad wieczorem w jadalnym pod lampą do roboty, padał między nami kamień niezrozumienia i stawał się skałą nieprzebytą. Niby rozmawiałyśmy obojętnie, niby zajmowałyśmy się tymi samymi ludźmi, temi samemi sprawami, różność poglądów, różność uspo-

sobień, zaostrzona zależnem stanowiskiem z mojej, chęcią kierowania z mamy strony, występowała ciągle i wywoływała przymówki, obrazy, kończące się bolesnem milczeniem.

Z początku wejście ojca witałam radosnem uczuciem ulgi, wyrażonem w uśmiechu, w okrzyku, wkrótce jednak spostrzegłam, że mamę to drażni, że bardziej się jeszcze ode mnie usuwa, że mimo wszystko jest o mnie zazdrosna. Odtąd opanowywałam już radość z jego przybycia, starałam się zachować obojętnie, jakby się nic dobrego nie zdarzyło. Ale wówczas ogarniał mnie wstyd, że udaję, że zabieram ojcu to, co mu się słusznie ode mnie należy, że to ja właśnie miłująca nadewszystko szczerość, wprowadzam dyplomacyę do stosunków między najbliższymi.

To też każde zjawienie się kogoś obcego było dla mnie prawdziwem wyzwoleniem, wtedy i mama się ożywiała i ja mogłam być sobą.

Wśród rzadkich gości, odwiedzających nas, najmilszym był pan Ludwik Lasiecki, zapalony szachista, ulubiony partner ojca, właściciel małego mająteczku, Zakącie, blizko miasteczka, stary kawaler, wysoki, tęgi, trochę rubaszny, ale inteligentny i dobry jak rzadko.

Dziećmi przepadaliśmy za nimi, nie wiem czemu, mnie, najmniej ładną, najmniej zabawną, obdarzał specyalną przyjaźnią, może właśnie dlatego, że nie-

dość hojnie przez naturę obdarzona, nie mogłam liczyć na wielkie powodzenie w życiu, on mi to chciał wynagrodzić, wiedziony swem złotem sercem. Gdy byłam malutka, wielki zachwyt wzbudzała we mnie łysina pana Ludwika, duża, okrągła, bez jednego włoska, różowa i lśniąca, jak mosiężna gałka przy schodach kościelnych, po której przesuwałam ręką z lubością, ile razy prowadzona przez mamę, wstępowałam na te schody kamienne, wysokie, trudne do przebycia dla krótkich nóg dziecięcych, owa gałka witana pożądliwem spojrzeniem i pieszczotliwie głaskana dłonią, jedyną była osłodą na tej ciężkiej drodze.

Kiedyś pan Ludwik wziął mnie na kolana, zabawiał prztykaniem kopertą zegarka w nos, klaskaniem w palce, co było dla mnie szczytem zręczności, bo mimo cierpliwych prób nie mogłam ani rusz klasnąć miękkimi, krótkimi paluszkami. Od zabawy przeszedł do rozmowy: jak zdrowie lalki? czy lubię śliwki? czy nie boję się Azora? Rozmowa długa, bardzo zajmująca, rozgawędziłam się na dobre i nagle propozycya, abym została jego żoną. Zastanowiłam się chwilę, pan Ludwik przechylił głowę, patrzył na mnie pytająco i czekał odpowiedzi. Światło lampy padało na jego łysinę i grało na niej blaskiem prawie tak silnym, jak na samowarze. Odrazu się zdecydowałam. Oto trafia mi się pyszna sposobność głaskania tej gład-

kiej, lśniącej, jak gałka od schodów kościelnych, łysiny. Wypaliłam bez wahania, »a to ja bende dlaśtala lysinę«.

Wybuch śmiechu, który powitał te słowa, zgasił moją radość i zawstydził ogromnie. Schowałam głowę pod kurtkę pana Ludwika i mimo zapewnień, że mogę głaskać jego łysinę, ile mi się tylko podoba, i próśb, abym nie czekając małżeństwa, zaraz spróbowała, nie chciałam spojrzeć ludziom w oczy po wstydzie, jaki sobie wyrządziłam. Dopiero, gdy ojciec rozstawił szachy i pan Ludwik zajął się grą, zsunęłam się cicho z jego kolan i ze schyloną głową pobiegłam do bońci, utulić w jej objęciach wstyd, że »tate dlupstwo powiedzialam«. Odtąd zostałam żoną pana Ludwika, zachęcaną stale przez długie lata do pogłaskania łysiny, na co się jednak nigdy nie odważyłam. Pan Ludwik bywał u nas nie często, staranny gospodarz, a niezamożny, wiele się musiał natrudzić, aby utrzymać Zakącie w pożądanym stanie, ale też nikt w okolicy nie miał tak starannie uprawnych pól, takiego ładu na podwórzu, a czystości w domu. Lubił, aby na to zwracano uwagę i o tem mówiono, to też w czasie rzadkich u niego odwiedzin, wszyscy zgodnie zachwycaliśmy się doskonałem utrzymaniem mająteczku, na co odpowiadał skromnemi minami i radosnym uśmiechem.

Jak porządek w Zakąciu był przedmiotem jego

zadowolenia, tak znów przedmiotem oburzeń, rozkładania desperackiego rąk, wzywania gromów niebieskich, było niesłychane opuszczenie, w jakie popadał sąsiedni, obszerny majątek, Borowa, od lat niezamieszkany przez właścicieli, zdany na ręce służby niedbałej i nieumiejętnej. Serce pana Ludwika krwawiło na widok pól leżących odłogiem, łąk wypasywanych przez chłopów, lasu wyrąbywanego bez kontroli, budynków idących w ruinę. Bolało go to, jak własna krzywda. Takby pragnął zaradzić złemu, a nie mógł, i musiał z dnia na dzień patrzeć z własnego czyściutkiego, ogarniętego podwórka, jak tam wszystko chyliło się do coraz większego upadku. Nie pamiętam wizyty, na której nie szerzyłby skarg na zniszczenie tego niegdyś »złotego jabłka«, »ozdoby okolicy«, »dumy rolnictwa krajowego«.

— Oni za to odpowiedzą przed całym narodem — kończył zawsze swoje żale.

Kto byli ci »oni«, nie wiedziałam i nie pytałam się nigdy. Bez zgłębiania sprawy czułam do nich urazę, jak do zakały społeczeństwa, dającej na zmarnowanie szmat pięknej ziemi ojczystej. Aż oto po wielu, wielu latach wysłuchiwania i podzielania oburzeń pana Ludwika, dowiedziałam się nareszcie, kto są ci występni właściciele Borowej, poznałam ich i stali mi się blizcy, weszli w moje życie, by pozostać w niem na zawsze, jeśli nie

osobiście, to ciągłą moją o nich myślą i dla nich uczuciem.

Był wieczór wiosenny, do późnego zmroku krzątałam się w ogródku, a gdy już nic nie mogłam dojrzeć na grządkach, weszłam do stołowego pokoju, gdzie mama pod kręgiem lampy cerowała bieliznę. Poczęłam nakrywać do kolacyi i zagadywać o różnych domowych sprawach, ale mama nie była usposobiona pojednawczo i po wymianie kilku zdań zapanowała między nami cisza, tem dla mnie przykrzejsza, że pobudzona wiosną i zajęciem na roli, miałam serce pełne tkliwych uczuć, gotowe tulić się do ludzi, nieść zgodę i wesele. Turkot przed bramą i dźwięk dzwonka ucieszył mnie bardzo.

— Ktoś przyjechał — zawołałam radośnie.

— Któżby znów miał przyjeżdżać dzisiaj i o tej porze? Pewnie po ojca do chorego — zgromiła mnie mama.

Ale zamaszyste wycieranie nóg o słomiankę w sieni i znajome chrząkanie zaprzeczyły jej słowom.

— Pan Ludwik! — ucieszyłam się jeszcze bardziej.

Stanął w progu rozpromieniony, wielka nowina biła od niego łuną o sto kroków.

— Cóż nowego? — zawołała mama, już udobruchana zmianą i miłym gościem.

— Ani się pani doktorowa spodziewa — odparł tajemniczo, pocałowawszy mamę w rękę — i zwracając się do mnie ze zwykłym porozumiewawczo-przyjaznym uśmiechem.

— Niechże pan mówi.

Stał chwilę milcząc, przenosił spojrzenie z jednej na drugą, jakby badał, czy nasza ciekawość dosięgła już punktu najwyższego i stoi na wysokości sytuacyi, nareszcie rzekł uroczyście:

— Larysowie wrócili.

Mama wyrzuciła głośne: »ach!« ja otworzyłam szeroko oczy.

— A któż to są ci Larysowie?

Panu Ludwikowi opadły ręce, potem uniósł je do łysiny, wytrzeszczył oczy i powtórzył z większem jeszcze niż ja zdumieniem:

— A ktoż to są ci Larysowie?

Popatrzył na mnie, potem na mamę, która wzruszyła ramionami, i znów na mnie.

— Jakto? — rzekł wreszcie z oburzeniem — Aneczka mieszka w tej okolicy od urodzenia, Aneczka bywa w Zakąciu kilka razy na rok, Aneczka jest moją serdeczną przyjaciółką i Aneczka nie wie, kto są Larysowie?

Byłam upokorzona.

— Nie wiem — szepnęłam nieśmiało.

Podszedł do mnie, ujął za ręce, utkwił oczy

w mych oczach i oznajmił wolno, odmierzając słowa:

— Larysowie to są właściciele Borowej.

— Aaach!

— A tak: ach!

— Nareszcie! — westchnęłam z ulgą.

— Pewno, że nareszcie, wielka pora, żeby już było nareszcie.

— Skądże oni wrócili, ci Larysowie?

— Skąd wrócili? Nie, ta Aneczka jest pyszna sobie. Skądże mieli wrócić? Pytam się, skąd mieli wrócić Larysowie?

— Kiedy bo ja nic nie wiem — powiedziałam już zniechęcona i swoją nieświadomością i oburzeniem, jakie wywoływałam.

— Przecież ja chyba ze sto, mało sto, tysiąc razy tę historyę opowiadałem.

— Ależ naturalnie — wtrąciła mama z niecierpliwością.

— Niech pan jeszcze raz opowie — przymilałam się. Podsunęłam mu krzesło i patrzyłam prosząco w oczy. To go rozbroiło, uśmiechnął się do mnie jasno, siadł, odchrząknął i zaczął:

— Otóż przed trzydziestu laty...

— I jakże pan chce, abym ja wiedziała, co się stało przed trzydziestu laty? — przerwałam uradowana, że znajduję wytłómaczenie dla siebie.

— Wszak opowiadałem.

— Może, nie wiem, więc słucham dalej.

— Przed trzydziestu laty, kiedy Aneczki jeszcze nie było na świecie...

— Ja myślę — zauważyła mama z urazą.

Pan Ludwik stropił się.

— No tak, naturalnie, ani się Aneczce nawet śniło, jeszcze i rodzice Aneczki tu nie mieszkali. Otóż wówczas Borowa należała do Zblitowiczów. On, gospodarz zawołany, człowiek prawy, energiczny, trochę raptus i pyszny z majątku, z urodzenia, że to biskupa w rodzie mieli, ona, kura domestica, zahukana, niedołężna, jedno wielkie nic. Mieli córkę, jedynaczkę, Kachna się nazywała, tęga pannica, duża, rozrosła, czarniawa.

— Nieładna?

— Owszem, niczego, całkiem niczego, postawna, urodziwa dziewczyna, a pracowita, a zapobiegliwa, całe gospodarstwo kobiece jej głową szło, ledwie podrosła i z klasztoru wróciła; do męskiego też chętnie się wtrącała, choć ojciec zazdrosny był o nią, to też czasem się przemówili, bo jedno drugiemu ustąpić nie chciało, ale kochali się i rozumieli, jak rzadko. Myślę, że przez tę jego wielką miłość ona długo zamąż nie wychodziła, bo mu ją było żal od siebie puszczać i kawalerów odprawiał, niby, że nie dość dobre partye dla takiej bogatej dziedziczki. Chciał ją podobno wy-

dać za gospodarza, któryby po nim Borową objął, ale taki jakoś się nie trafił.

— Czemu to pan się nie podsunął, panie Ludwiku? — zagadnęła mama.

Twarz i łysina pana Ludwika stały się purpurowe, mrugnął oczyma z zakłopotaniem.

— Co też pani doktorowa mówi! Gdzie mnie, szarakowi na Zakąciu, do takiej posażnej panny? Głos mu się zmącił, oczy uciekały spłoszone.

— Więc i cóż z tą Kachną było dalej? — pośpieszyłam wybawić go z przykrej sytuacyi.

— A no cóż: rok za rokiem mijał, panna się rozrastała, traciła świeżość, kisła, a odpowiedniej partyi jak nie było, tak nie było. Ona niby o to nie dbała, trzęsła domem, trzęsła podwórzem, od świtu uganiała konno po polach, targowała się z żydami o las, nieraz bywało sama czwórkę do powozu założy, na kozioł siądzie, z bata pali i po majątku rozjeżdża, a to do poręby, a to do pastwisk dojrzeć, a to, czy w granicę nie worane, a rusza się zamaszyście, a wykrzykuje głośno, aż ją u mnie na podwórzu słychać, a twarz jej płonie, a oczy błyszczą; myślę, że się w niej gotowało, jak w piecu hutniczym, tylko się wstydziła przyznać. Ile razy mi bryznęła w oczy: — Tyle o męża dbam, co o śnieg zeszłoroczny. Albo mi to źle w Borowej, albom to nie pani na swojem? Myślałem: gadaj zdrowa, moja panno, przyjdzie

i na ciebie pora, już ty się nie wymigasz jakiej sercowej biedzie, boś do niej nadto przygotowana. Wróżyłem i wywróżyłem. Rozchorowała się matka na reumatyzm. Pojechały we dwie do Trenczyna, bawiły tam ze trzy, może cztery tygodnie i naraz plotka po okolicy gruchnęła: panna Kachna zamąż wychodzi. Ja do Borowej, do starego — niema go, wyjechał. Dokąd? po co? Stara kucharka, której syn u mnie za woźnicę służył, do ogrodu mnie wyprowadza i powiada, że pan dostał list od panienki; co w nim było, ona nie wie, ale strasznie krzyczał, że do takiego małżeństwa nie dopuści, że to hańba, że nie na to jedynaczkę tyle czasu w domu trzymał i majątku dla niej dorabiał, żeby teraz za jakiegoś austryackiego oficerka zamąż szła, a nareszcie kazał kuferek pakować i pojechał widocznie do pani, owo małżeństwo zerwać. Ale skoro panienka napisała, że zamąż wychodzi, to pewno na swojem postawi, bo jeszcze bardziej od pana zacięta. Sprawdziły się słowa starej Agaty: w miesiąc potem, mimo gniewu ojca, mimo płaczu matki, Kachna za swojego oficerka wyszła.

— Cóż dziwnego? Zakochała się.

— Pewno, że dziwne, bo gdyby to był chociaż porządny człowiek, no, nie mówię, oficer nie oficer, podobać się może, nie wszyscy na świecie ziemię orzą, ale to powiadam Aneczce, hulaka,

gracz, utracyusz, a gbur, jak ostatni parobek, bez żadnego wychowania, bez ogłady.

— Piękny może?

— I to nie: chuderlawy, drobny, ni z pierza, ni z mięsa. W dodatku cudzoziemiec, jakiś Słowak, czy Chorwat, Bóg go tam wie, po polsku ledwie szeplenił, a szczyt wszystkiego, że luteranin.

— To i cóż stąd?

— Zapewne, dla Aneczki, to i cóż stąd, ale nie dla Kachny; toć to była najzagorzalsza katoliczka z całej parafii, taka ciekła do nabożeństwa, jak i do pracy. Co niedziela na kazaniu i sumie bywała i to sumy wysłuchiwała klęcząc, tak w modlitwie pogrążona, że o całym świecie zapominała. Co miesiąc spowiadała się i komunikowała, należała do Dzieci Maryi, a w kościele taki rej wodziła, jak u siebie w domu. Dobrze się przy niej kanonikowi działo, nie miał kłopotu o kościół: ona bieliznę do prania brała, w porządku utrzymywała, co było potrzeba, to sprawiła, albo sama wyhaftowała; ona na każde święto kościół stroiła; ona organizowała noszenie feretronów przez dziewczęta w bieli, sypanie kwiatów w czasie procesyi. Pierwsza osoba po kanoniku. Ciągle przytem jakieś pobożne pisma i książki czytywała, rozpożyczała, mnie nawet nieraz kazała to lub owo z owych świętości przeczytać. Powie Aneczka — wierząca, chrześcijanka, nie — katoliczka, dla niej nie było

zbawienia poza kościołem katolickim, nie raz i nie dwa słyszałem ją tak mówiącą. I nagle, jak na nią ten dur miłosny przyszedł, zapomniała o wszystkiem: o religii, o kraju, o Borowej, o ojcu i matce, wszystko rzuciła i poszła za tym swoim Larysem na niedolę i poniewierkę.

— Może była szczęśliwa, skoro go tak kochała?

— Co za szczęście? Panna ze szlacheckiego dworu, ze wsi, przyzwyczajona do rządzenia, do dużego domu, do dostatku, do pola, od rana do nocy w pracy przy gospodarstwie, na roli, pani u siebie, z ziemią pokumana, naraz przerzucona do życia garnizonowego, po żydowskich miasteczkach, po ciasnych kwaterach, na wysługach przy swoim oficerku.

— Miała pieniądze, mogła żyć dostatnio.

— Już on jej na dostatki grosza nie zostawił, co miała, przepił, przegrał w karty i wszystkiego było mało, ciągle listy do Borowej szły o pieniądze. Stary się rzucał, złościł, ale słał, bo Kachna prosiła, błagała, bo o honor jej męża szło, że to karciane długi. Niedługo stary taką zgryzotę wytrzymał, na serce się rozchorował i umarł. Myśleliśmy wtedy, że Kachna w Borowej po pogrzebie zostanie. Gdzie zaś! oficerkowi się cniło bez kompanii, bez kart i kieliszka, pojechał do regimentu,

á ona z dzieckiem za nim. Ani słuchać o zostaniu nie chciała, taka w nim wciąż była zadurzona.

— To dziecko mieli?

— Jednego chłopaka, też na luteranizm go ochrzciła, żeby się już całkiem w tatkę wdał.

— Taka była zaślepiona?

— Do samej jego śmierci. Tutaj majątek w ruinę szedł, bo stara, niedołężna, co lepsza służba to się porozchodziła, sami złodzieje albo byle co zostali, a Kachna ani się zatroskała, tylko wciąż pieniędzy i pieniędzy się dopominała, jak nie mieli skąd brać, to na hipotekę pożyczała, aż majątek zadłużyła z kretesem. Umarła matka, nawet na jej pogrzeb nie przyjechała, bo oficerek z przepicia chorował, więc go nie mogła odjechać.

— Jej! jej! co za miłość!

— Aneczka jeszcze gotowa podziwiać!

— Ja nie mówię, że to pożyteczne lub nawet piękne, ale silne, ale niezwykłe.

— Szał i już. Zmarnował ją, majątek, całe życie hulał, przez ostatnie lata podobno całkiem był zniedołężniały, a ona mu jak pies do końca wiernie służyła i teraz jeszcze cała w krepach, w zbolałych minach, nie tem złamana, że miała takie okropne przy nim życie, ale że się to życie z nim skończyło.

— Co się stało z synem?

— Przyjechał z nią.

— Przyjechał — zainteresowała się mama — i jakiż on?

— Chwacki chłopaczek, dobrze mu z oczu patrzy, tylko widać miękki, całkiem przez matkę zawojowany.

— W wojsku służy?

— Służył, ale wystąpił i ma z nią razem w Borowej gospodarować.

— Ciężkie to będzie gospodarstwo.

— Pewnie. Nie wiadomo od czego zacząć, za jaką robotę wpierw się brać, tak wszystko zmarnowane. Ale zdaje się, że ona energii nie straciła, już się tam odrazu żwawo krząta i chłopca popycha.

— To potrzebuje popychania?

— Nie, tylko ona kieruje, a on o wszystko się pyta. Widać już tak nawykły.

— Służbę chyba całą odprawią, takie to rozleniwione, do kradzieży nawykłe.

— Już i połowy niema, ale nowej niewiele godzą, bo pieniędzy brak, sami będą musieli pracować. Tak, tak, moje panie, na to Kachnie przyszło: w dostatku żyła, służbą trzęsła, teraz w biedzie i musi sobie ręce urobić, aby jaki taki ład w Borowej zaprowadzić i mieć z czego żyć, a głównie długi płacić, bo inaczej ją żydzi z ojcowskiej ziemi wyprawią.

Nadszedł ojciec. Siedliśmy do kolacyi, podczas

której mówiono wciąż o Larysach; ja niewiele brałam udziału w rozmowie, zajęta dumaniem o tej kobiecie, która umiała tak bardzo, tak ponad wszystko i aż do końca kochać wybranego mężczyznę. Urastała w mych oczach do rozmiarów szekspirowskich i z całego serca pragnęłam ją poznać. Życzenie moje spełniło się prędzej, niż przypuszczałam. Nazajutrz po bytności pana Ludwika, zaniosłam jak zwykle gazety starej, ubogiej nauczycielce, pannie Paulinie. Siadłam przy jej fotelu na chwilę gawędki, zamieniłyśmy zaledwie kilka zdań i nie zdążyłam jeszcze obwieścić wielkiej nowiny dnia o powrocie Larysów, gdy rozległ się turkot na ulicy, zatrzymał się przede drzwiami domu, w sieni zaszumiało spódnicami, ciężkimi krokami i zapukano do drzwi.

— Kto to może być? — zdziwiła się panna Paulina — i poczęła poprawiać włosy i otrzepywać suknię.

Zapukano po raz wtóry.

— Proszę — zawołała wątłym, starczym głosikiem, rozedrganym bardziej jeszcze wzruszeniem niespodziewanych odwiedzin.

Drzwi otworzyły się i w całej ich przestrzeni zaciemniało. Do pokoiku weszła kobieta rosła, barczysta, chuda, trochę przygarbiona, z siwymi włosami, gładko zaczesanymi pod krepowym kapeluszem o długim woalu. Z pożółkłej twarzy spoglą-

dały oczy połyskliwe, czarne, otoczone czerwonemi obwódkami, które świadczyły o wypłakanych łzach. Opadłe policzki, zacięte usta, nadawały jej wyraz udręki i mocy. Od całej czarno ubranej postaci biła żałoba i tragedya.

— Pani Larysowa — przeszło mi przez myśl — i mimowolnie wstałam z krzesła. Wówczas dopiero spostrzegłam, że za czarną panią stoi młodzieniec jasny, różowy, uśmiechnięty. Biła od niego dziarskość i wesele. Wyzierał z za pleców towarzyszki, jak słońce z za chmury. Zaśmiały się do niego moje oczy i on mi uśmiechem odpowiedział, a tak wabiąco, tak zalotnie, że mi krew buchnęła do twarzy, i zmieszana, nie wiedziałam, co czynić. Tymczasem przybyła podeszła do fotelu panny Pauliny i, chyląc się z wyciągniętą powitalnie ręką i życzliwym uśmiechem, który nagle rozświetlił jej chmurną twarz, rzekła:

— Pani mnie poznaje, panno Paulino?

Staruszka wyprostowała się i patrzyła na nią z natężeniem i zakłopotaniem.

— Jestem Larysowa.

Panna Paulina mrugnęła szybko powiekami, uśmiechnęła się niepewnie, podniosła rękę do czoła, jakby już coś sobie przypominała, już jej to nazwisko budziło znajome, lecz jeszcze nieuchwytne echo.

Na twarzy pani Larysowej odbiło się zdziwienie i przykrość.

— Katarzyna Zblitowiczówna z domu — objaśniła z lekkim tonem urazy.

— Kachna! — zawołała radośnie panna Paulina i chwyciła przybyłą w swe drobne objęcia, ona pochyliła ku niej głowę i przez chwilę utonęły w pocałunkach.

Potem odsunęły się od siebie trochę i patrzyły sobie w twarze zwilgotniałemi oczyma, szukając znajomych rysów wśród ruiny przez czas i cierpienie zrządzonej. I widocznie odnalazły się wzajemnie i wzruszyły radośnie, bo uśmiech rozjaśnił im oczy, a uścisk złączył znów na długą chwilę. Wreszcie pani Larysowa wyprostowała się, zwróciła ku młodzieńcowi i, ująwszy go za rękę, rzekła:

— Oto mój syn, Bolek, panno Paulino.

Staruszka musiała doznać takiego samego uczucia olśnienia, jak ja, gdyż zmrużyła oczy, rozchyliła usta uśmiechem, klasnęła w ręce i zawołała:

— Jaki śliczny chłopiec!

A on spłonął rumieńcem aż po płową czuprynę, błysnął białymi zębami w purpurowych, zlekka wywiniętych wargach i pochylił się do ręki staruszki. Złożyła mu na czole głośny pocałunek, a potem ujęła w dłonie jego jasną głowę, przechyliła w tył i patrzyła mu w twarz z uśmiechem zachwycenia. Nagle, jakby myślą jakąś tknięta, pu-

ściła go, zwróciła się ku mnie i, chwyciwszy mnie za rękę, rzekła:

— Niechże i ja ci przedstawię, Kachno, moją miłą, dobrą przyjaciółkę, Aneczkę, córkę naszego doktora.

Pani Larysowa wyciągnęła do mnie dłoń.

— Pan Lasiecki opowiadał nam o pani.

— Pan Ludwik jest naszym serdecznym przyjacielem — odparłam.

— Tak, mówił nam o tem. Pani pozwoli, że jej przedstawię mego syna.

Podałam mu rękę, lecz oczy zwróciłam w stronę panny Pauliny i rzekłam:

— Ja już muszę paniutkę pożegnać.

Nie wiem czemu, zdawało mi się, że powinnam natychmiast odejść, chociaż serce aż drżało od chęci pozostania.

— Niechże pani nie ucieka — zaprotestowała pani Larysowa — bo pomyślimy, że to przed nami.

— Czekają na mnie w domu — tłómaczyłam.

— To i poczekają. Niech pani zostanie, a potem razem pójdziemy, bo właśnie wybieramy się do pana doktora. Mój syn skaleczył rękę i rana jakoś brzydko wygląda.

Spojrzałam na niego niespokojnie, odpowiedział mi uśmiechem i potrząsnął obandażowaną ręką.

— Niech pan nie rusza! — zawołałam.

— Nic nie szkodzi — odpąrł i ścisnął palcami zranioną dłoń z przekorną miną.

— Panie, boli — użaliłam się.

— To i cóż, że boli? Ja nie delikacik.

— Z pewnością — rzekłam z przekonaniem. Roześmiał się i podsunął mi krzesło, a skłonił się i spojrzał tak prosząco, że już się nie wymawiałam, tylko siadłam, a on przy mnie. Prowadziliśmy rozmowę pospolitą i rwącą się co chwila. Pytał, czy dawno mieszkamy w miasteczku, czy się nie nudzę, czy mam odpowiednie towarzystwo. Odpowiadałam krótko, niezręcznie, jak mała, onieśmielona dziewczynka, oczy trzymałam wbite w podłogę, a ile razy ogarniał mnie gniew na moje niemądre zachowanie, ile razy podnosiłam oczy, tyle razy spotykałam szafirowe źrenice, patrzące we mnie z wyrazem tkliwym i swawolnym, pod wpływem którego usta poczynały mi drżeć uśmiechem, krew uderzała do twarzy, a oczy olśnione nakrywały się czemprędzej powiekami. Z boku dochodziła mnie rozmowa pań; wspominały dawne czasy, gdy panna Paulina była nauczycielką pani Larysowej, mówiły o jej życiu na obczyźnie, o upadku Borowej.

To wszystko przypomniałam sobie dopiero później, w tej chwili słyszałam głos pani Larysowej, ale go nie słuchałam, spoglądałam na nią kiedy niekiedy, ale jej nie widziałam. Ta kobieta,

którą tak poznać pragnęłam, była tam, lecz dla mnie nie istniała, całą moją uwagę pochłonął, a właściwie rozproszył jej promienisty syn.

Po pewnym czasie pani Larysowa poczęła się żegnać z panną Pauliną. Poszłam za jej przykładem i wyszliśmy. Przed domem, pochylona w rynsztok stała szeroka bryka, z siedzeniem ze słomy, okrytem wytartą derką, zaprzężona w nędzne konięta, na koźle drzemał chłopina brudny, obdarty.

— Siadamy do kolasy — zażartował Bolek — czy idziemy pieszo?

— To blizko — odparłam.

— Chodźmy więc.

W drodze pani Larysowa czuła się w obowiązku zadawać mi te same stereotypowe pytania, któremi syn jej zabawiał mnie u panny Pauliny, tylko w tej chwili wydawały mi się one dziwnie błahe i odpowiadałam na nie szybko i dokładnie.

W domu nie zastaliśmy ojca. Wyszedł do chorego w miasteczku i miał zaraz wrócić. Mama, dowiedziawszy się, jacy to goście czekają w saloniku, przejęła się tem bardzo, odpasała fartuch, przygładziła włosy i wyszła do nich, chociaż nie było zwyczaju, aby zabawiała chorych, czekających na ojca. Widocznie pragnęła traktować przybycie Larysów, jako odwiedziny sąsiedzkie. Nie wiem czemu, podrażniło mnie to przykro, chociaż

w głębi serca rada byłam nawiązaniu stosunków towarzyskich z nimi.

Pani Larysowa odwykła widocznie od życia sąsiedzkiego, od gawędek mniej lub więcej powierzchownych, milkła co chwila, gubiła się wzrokiem w przestrzeni, wzdychała ciężko. Tak była w tem obsunięciu się w siebie, w niezręczności zakrawającej na nieśmiałość, w przygnębieniu żałosnem różna od owej świetnej, żwawej, hardej Kachny, o której nam opowiadał pan Ludwik, że się spoglądało na nią, jak na istotę nową, z tamtą nie mającą nic wspólnego, jakąś zabiedzoną, zahukaną gosposię z zaścianka. Mama po pierwszych objawach zachęcającej uprzejmości, po kilku zdaniach, które miały otworzyć upusty szczerej, ożywionej gawędki, też milknąć poczęła, mieszać się, czuć nieswojo. Rzuciła parę pytań w stronę Bolka. Odpowiedział jej z uprzejmym, nawet przymilnym uśmiechem, ale krótko i jakby z roztargnieniem.

Mamy zapał przygasł, z Larysami szło, jak z kamienia. Uchwyciła się nareszcie nowego środka rozdrobnienia towarzystwa, licząc, że w gawędce na cztery oczy jakoś może gładziej pójdzie.

— Aneczko, może pokażesz panu Larysowi nasz ogród? — zwróciła się do mnie.

Bolek podskoczył na krześle, jak uradowany uczniak.

— Dziękuję pani, bardzo pragnę zobaczyć ogród

państwa! — wykrzyknął, jakby tam nań czekały sławne cuda.

O mało nie parsknęłam śmiechem. Spostrzegł to, zmrużył filuternie oczy i odrazu zadzierzgnęło się między nami jakieś wesołe porozumienie. Gdy znaleźliśmy się na werandzie, spojrzeliśmy sobie w oczy i wybuchnęli śmiechem, niby po dokonaniu pysznego figla.

— Pani musi być bardzo wesoła — rzekł.

— O nie — zaprzeczyłam — mam usposobienie pogodne, ale wesoła nie jestem.

— Pani siebie nie zna, ja już widzę, że w pani tkwi szczera, skłonna do wybuchu wesołość. Jeśli dotąd się nie odzywała, to skutkiem przytłumienia warunkami zewnętrznymi, ale ja ją w pani wyzwolę.

— Dlaczegóż to pan właśnie? — zapytałam przekornie.

— Bo dokonałem już podobnego zadania z sobą i wiem, jak się do tego zabrać.

— No, chyba pańska wesołość nie potrzebowała wyzwolin.

— Myli się pani, moje warunki domowe nie sprzyjały wesołości.

Spłonęłam głęboko, urażona tem porównaniem życia jego rodziny nędznego, zatrutego nałogami ojca, z życiem naszem, gdzie zdarzały się mało-

stkowości, nieporozumienia, ale które było w gruncie czyste i dobre.

— Pańskie warunki domowe... — zaczęłam z pewnem uniesieniem i urwałam wobec silnych rumieńców, które oblały twarz Bolka i łez mu napędziły do oczu.

Przez chwilę szliśmy uliczkami ogrodu w milczeniu. Wreszcie on zaczął nieśmiało:

— Tak, ojciec mój był człowiek słaby...

— Nie mówmy o tem! — zawołałam — i bardzo pana przepraszam.

— To właściwie ja powinienem panią przeprosić. Wiem, że rodzina pani, zwłaszcza ojciec...

— Proszę pana, przestańmy.

— Pani mnie nie rozumie. Ja przecież nie chcę, nie śmiem porównywać i jeśli mówiłem o podobieństwie położenia pani i mego, to z myślą, że przecież różne, najsprzeczniejsze okoliczności mogą wpływać na przytłumienie wrodzonego usposobienia. Na mnie działały warunki domowe, na panią może coś zupełnie innego. Nie wiem co i wiedzieć nie mogę, za mało znam panią i jej życie.

— Wcale chyba.

— Otóż znowu omyłka. Przedewszystkiem opowiadał nam o pani i jej rodzinie pan Ludwik, jego też wprawdzie znam niewiele, ale kierując się zdaniem matki i osobistą intuicyą, sądzę, że to jest człowiek, na którym można polegać.

— Pan Ludwik jest naszym przyjacielem, więc jego zdanie nie może być bezstronnem.

— Czyżby was darzył przyjaźnią, gdybyście nie byli jej godni?

— To prawda — roześmiałam się, rada, że mnie przekonał.

Rozpromienił się, zadowolony, że poważny, nawet przykry nastrój minął.

— No widzi pani, no widzi pani! — powtarzał, kiwając żartobliwie głową — pani chce mieć słuszność i jakoś się to nie udaje.

— Cóż poradzić, skoro pan taki mądry.

— I znowu nie ma pani słuszności, bo ja nie mogę być zaliczony do mądrych. Taki oto sobie jestem prosty chłopiec, nie bardzo mądry, nie bardzo uczony, ale zdrów, ochoczy i wesół i pani jest taka sama, nieprawdaż?

Potrząsnęłam przecząco głową.

— Przedewszystkiem nie jestem zdrowa.

— Nie? — zdziwił się nieprzyjemnie i patrzył na mnie uważnie, a mnie uczyniło się nagle bardzo przykro i wstyd nawet, że nie jestem taka silna i raźna, jak on. Rumieniec oblał mi twarz i rzekłam tonem usprawiedliwienia:

— Właściwie chora nie jestem.

— No tak, naturalnie, jest pani tylko delikatna, jak wszystkie kobiety. Takie sobie słabe kobieciątko — powiedział pieszczotliwie i schylił ku

mnie głowę z tem swojem wabiącem spojrzeniem.

— Nie wszystkie kobiety są delikatne.

— Myśli pani o mojej matce, ale moja matka to nie jest kobieta, tylko kobiecisko. Mocne, dzielne, zacne kobiecisko. O moja matka! — wykrzyknął z zachwytem i uwielbieniem.

— Pan ją bardzo kocha?

— To niedostateczne określenie, ja sobie nie wyobrażam życia bez niej. Muszę się pani przyznać, chociaż to osłabi moją powagę męską w jej oczach, że właściwie dotąd całem mem życiem kierowała matka, ona była jego wolą, jego rozumem.

— Może i sercem — dorzuciłam z ironią — tak to wyznanie nagle zdrobniło go w mych oczach.

— A nie, serce to już miałem i mam swoje własne i w tej chwili dotknięte pani tonem — odparł niby żartobliwie, ale z wyrazem przykrości na twarzy.

— Zato pan będzie miał o mnie pojęcie, że serca nie mam zupełnie: krótką chwilę jesteśmy w ogrodzie, a ja już dwa razy pana uraziłam.

— Prawda, a jednak wiem, że to nie było z braku serca, przeciwnie nawet.

— Dziwna logika.

— Zaraz pani wytłómaczę, że słuszna. Pani od chwili ujrzenia mnie u panny Pauliny, poczuła do mnie odruchową sympatyę, tymczasem im bliżej mnie pani poznaje, tem więcej rzeczy ją we mnie razi i dlatego mi to pani okazuje, że w istocie jestem jej sympatyczny. Czyż nie tak?

Roześmiałam się.

— Pan jest śmieszny: ni to zarozumiały, ni to skromny.

— Zarozumiały w każdym razie nie. Chyba tylko bardzo szczery.

— Pierwotna natura — znów zaszydziłam.

— Pierwszy raz ma pani słuszność i chociaż to było powiedziane z ironią, jednak się nie gniewam, bo prawda.

— Pan się nigdy nie gniewa za prawdę?

Chwilę myślał.

— Tak, nigdy, może mi być przykra, ale się nie gniewam.

Pokiwałam głową ze zdziwienia.

— To zupełnie inaczej, niż wszyscy.

— Pochwała, czy nagana?

— Z mojej strony pochwała. Nie cierpię szablonu, a uwielbiam indywidualność.

— Cała bieda, że moja indywidualność, jak to już zaznaczyłem, jest w zupełności pod władzą matki.

Zmarszczyłam się.

— Czy nie możnaby się z tego otrząsnąć?

— Poco? Jej z tem dobrze i mnie również.

— Dobrze, dobrze! To nie jest sprawdzian.

— Dla mnie tak. Chcę, aby mnie i moim było dobrze, oto wszystko.

— Wszystko?

Zaczerwienił się.

— Pani znów niezadowolona.

Rozgniewałam się na dobre.

— Ostatecznie jest mi wszystko jedno. Cóż mnie to może obchodzić?

— Dlaczego pani się gniewa? — zapytał ze zwycięskim uśmiechem.

Ogarnął mnie wstyd, radość i jakieś jeszcze nowe, nieznane uczucie. Miałam ochotę zasłonić twarz rękoma i uciec, a jednocześnie zostać z Bolkiem jak najdłużej.

Krew mi napłynęła do twarzy, łzy do oczu, a usta drżały uśmiechem. On chylił głowę ku mnie coraz niżej, zaglądał w oczy coraz śmielej, aż i jemu twarz spłonęła, oczy się zmąciły.

— A no tak — szepnął zdławionym głosem — wyprostował się, westchnął głęboko, a po chwili rzekł zupełnie swobodnym i bardzo zdecydowanym tonem:

— My się będziemy często widywali, panno Anno.

— Pan podobno bardzo zajęty i ja również — broniłam się żywo.

— Co siedm dni jest niedziela, a wówczas ja odpoczywam i pani chyba także?

— O nie, ja i w niedzielę jestem zajęta: chodzę do chorych, pomagam ojcu, odwiedzam pannę Paulinę, czytuję głośno w przytułku dla sierot.

— Jeśli mam pani przeszkadzać, to rzecz prosta, nie będę się narzucał — odparł z urazą.

Dopiero w tej chwili spostrzegłam, jak niemądrze i niegrzecznie postępuję.

— Przepraszam pana, ja nie z tą myślą...

— Jednak rozmawialiśmy wyraźnie — upierał się przy swojem.

— Nie, nie, pan mnie nie zrozumiał. Chciałam tylko sprostować omyłkę pana, że w niedzielę odpoczywam, ale przecież zawsze, czy w niedzielę, czy w dzień powszedni znajdę chwilę wolną, aby z panem pogawędzić i doprawdy będzie bardzo przyjemnie... — plątałam się w wyrazach, jąkałam zacinałam, wreszcie podniosłam ku niemu wzrok błagalny i w tej chwili dojrzałam w jego oczach ten sam, co przed chwilą, wyraz zwycięski i żartobliwie-pobłażliwy, jakim się obdarza zawstydzone, miłe dziecko. Urwałam w połowie zdania, zmieszałam się bardziej jeszcze i wreszcie wybuchnęłam śmiechem.

— Wypędziła mnie pani za siódmą górę, za siódmą rzekę, a teraz ot śmiech.

Udawał obrazę.

— Wypędziłam, nie wypędziłam, niech będzie, jak pan chce.

— To też tak i będzie... jak ja chcę — dorzucił po przerwie.

Wydęłam usta pogardliwie.

— Jakaż pani przekorna.

— A pan by chciał — pokorna.

— Właśnie żebym nie chciał.

— Takie sobie słabe kobieciątko — przedrzeźniałam.

Zaczerwienił się i zagryzł wargi urażony.

— Pani bierze wszystko opacznie i ze wszystkiego drwi.

Uczyniło mi się przykro i znów zaległo między nami milczenie.

Od strony domu dobiegło wołanie mamy.

— Chodźmy, ojciec wrócił — rzekłam skwapliwie.

— Chodźmy — odparł sztywno.

Byliśmy już blizko domu, gdy nagle przyszła mi myśl, że nie powinniśmy się rozstawać w gniewie, a tam przy wszystkich nie będzie już można rozmawiać swobodnie, więc zatrzymałam się i cała w płomieniach, blizka płaczu, bąknęłam:

— Więc pan się gniewa? Proszę mi darować, ja nie chciałam panu dokuczyć.

— Nie śmiałbym się gniewać na panią. Zresztą, o co? Pani jest kobietą, a kobietom wolno drwić z mężczyzn, ile im się podoba, to ich największa rozkosz.

Głos mu drżał, a mnie zadrżało serce radością i już pewniej ciągnęłam:

— Przyznaję, żem przebrała miarkę, ale pan istotnie nie ma się o co tak bardzo obrażać.

Nuta tryumfu brzmiała w moim głosie.

— Wcale, a wcale nie jestem obrażony — obstawał przy swojem.

— To niech mi pan spojrzy w oczy i poda rękę.

Byłam już zupełnie panią położenia i śmiało wyciągnęłam rękę. Podał mi swoją, ale z ociąganiem i z odwróconemi oczyma.

— Ręka jest, a gdzie oczy? — dopominałam się napół żartobliwie, napół serdecznie.

Uśmiechnął się i spojrzał z pod oka.

— Tak krzywo, jak na wroga — oburzyłam się.

— O nie! — zawołał, ścisnął mi rękę silnie, schylił głowę, zajrzał w oczy i olśnił spojrzeniem.

Zmieszałam się, wysunęłam zwolna dłoń z jego uścisku i poszłam ku domowi ze schyloną głową,

zwyciężona i szczęśliwa, a on obok dumny, lecz poważny.

Obecność starszych zmatowała nas zupełnie, staliśmy się znowu dobrze wychowanymi, prawie obcymi sobie ludźmi.

Pomagałam ojcu przy opatrunku, czemu Bolek ciągle protestował, z uprzejmością rycerskiego młodzieńca, którego usługi kobiety zawstydzają.

— Daj pan pokój — przerwał mu nareszcie ojciec — Aneczka jest moim asystentem i niech pan ją traktuje jako asystenta, a nie panienkę z salonu.

— Byłem żołnierzem — odparł — a nam żołnierzom wpajają głęboko poszanowanie dla kobiety.

Nie podobały mi się jego słowa, a ojciec mrugnął niecierpliwie powiekami i rzekł:

— Mój panie, jesteś pan prawdziwym mężczyzną i dlatego szanujesz kobiety. Wierz mi, że twoje wojactwo nie odegrało tu najmniejszej roli.

— Jednak tradycye rycerskie — próbował się bronić Bolek.

— Nosimy wszyscy w sercu, zwłaszcza tu u nas w Polsce — zaznaczył ojciec ostatnie wyrazy.

Bolek się zmieszał i milczał.

— Nie żal panu żołnierki? — zapytał po chwili ojciec, aby go trochę rozruszać.

— Jak dotąd nie. Uśmiecha mi się praca na roli.

— Ciężka to będzie praca w Borowej.

— O tak, do niejednego musimy przyłożyć własnych rąk, bo zapuszczenie straszne, a grosza brak, za to długów w bród.

— Czy pan się też choć trochę zna na roli?

— Nic, a nic, ale matka zawołana gospodyni.

— Więc to matka będzie rządziła?

— Rzecz prosta! — zawołał żywo, jakby mu się to pytanie wydało dziwnem.

— W takim razie sądzę, że rychło doprowadzicie państwo Borową do porządku — skręcił ojciec — bo słyszałem, że matka pańska odznacza się wyjątkową energią, pracowitością i na gospodarstwie zna się doskonale.

— Tak niezawodnie. Co do ostatniego, to naturalnie zdania mieć nie mogę, ale podług mnie wszystko, co czyni moja matka, czyni doskonale.

Uśmiechnął się tkliwie, a łuna tego uśmiechu rozjaśniła twarz ojca i mocno, jakby serdecznie związał końce bandaża.

Zaraz po opatrunku Larysowie poczęli się żegnać, bo chcieli być w domu przed wieczornym udojem. Mama nie zatrzymywała ich i miała minę kwaśną, ojciec zato z miłym uśmiechem przypominał Bolkowi, aby nie ruszał chorą ręką i za trzy dni przyjechał do opatrunku.

— Z pewnością przyjadę — odparł Bolek żywo, ale pożegnał się ze mną obojętnie, co ledwie spostrzegłam, tak byłam dziwnie odurzona.

Gdyśmy siedli do kolacyi, mama powiedziała:

— Nie ciekawi ci Larysowie.

— Tak uważasz, a mnie oni się podobają — rzekł ojciec.

— Ona nieobyta, mrukowata — ganiła dalej mama.

— Widać po niej, że wiele w życiu przeszła, a i teraz jej nie lekko. Chłopiec zato żwawy, do życia ochoczy.

— Też jakiś nieułożony, nie znać po nim oficera.

— Tem lepiej.

— Jednak trochę ogłady bardzoby mu się przydało.

— Nie zauważyłem, aby brak mu było uprzejmości lub dobrego wzięcia.

— Widziałeś go tylko przy opatrunku, a ja spędziłam z nim długą chwilę w salonie, próbowałam go wciągnąć w rozmowę, zaczepiałam o różne tematy, na wszystko odpowiadał tak lakonicznie, że rozmowa odrazu się urywała.

— To właśnie po żołniersku.

— Przedewszystkiem nie po towarzysku.

— Nie miał widocznie sposobności do życia towarzyskiego.

— O tem też mówię: nie bywał, więc jest nieobyty, prostak słowem.

— Nie wymagajmy zbyt wiele od ludzi. Dobry chłopiec, do pracy skory, zdaje się szczera natura, zamknijmy oczy na inne, mniej ważne braki.

— Jednak w naszej okolicy, gdzie tak trudno o ludzi kulturalnych, bardzoby tacy byli pożądani i przyznam się, że pod tym względem liczyłam na Larysów, a znalazłszy ich innymi, czuję się zawiedziona. Rozumiesz, że nie chodzi mi o mnie, lecz dla Aneczki trochę młodego, a dobrego towarzystwa przydałoby się; ona rzeczywiście prowadzi życie, jak w klasztorze.

— Może Aneczka jest zadowolona z naszych sąsiadów? Cóż nam powiesz, dziewczyno?

Słuchałam całej tej rozmowy z uczuciem osobistej obrazy. Bolek wydał mi się ze swą szczerością, ze swobodnym sposobem bycia tak sympatyczny i właśnie wykwintny, że zarzuty mamy podług mnie były nie tylko niesprawiedliwymi, lecz nawet śmiesznymi; milczałam jednak, aby nie bronić go zbyt gorąco. Zresztą zdawało mi się, że ujmowanie się za nim byłoby tem samem, co ujmowanie się za sobą, a na to miłość własna nigdy nie pozwalała. Zagadnięta wprost przez ojca, odparłam wymijająco:

— Rzeczywiście, wyobrażałam sobie inaczej panią Larysową.

— Nie podoba ci się? — zdziwił się ojciec.

— To nie to, tylko pan Ludwik tak wiele opowiadał o jej dzielności, pracowitości, zamaszystości, że jej zabiedzona, przygnębiona postać nie licuje z wyobrażeniem, jakie sobie o niej wyrobiłam.

— Słyszałaś, co o niej mówił syn.

— Owszem i zgadzam się, że ona może istotnie doskonale czynić wszystko, co czyni, ale nie wygląda na to, zresztą nie robię jej z tego zarzutu, zaznaczam jedynie, że jest inna lub inaczej wygląda, niż sądziłam.

— A syn? — podchwyciła mama skwapliwie.

Namyśliłam się chwilę, aby powstrzymać nawał słów, które mi tłoczyły się na usta z głębi serca.

— Trochę dziwny, ale sympatyczny człowiek.

— Czy udało ci się nawiązać z nim jakąś poważniejszą rozmowę, czy też tak krótko zbywał twe zapytania?

— Rozmawialismy cały czas, ale nie była to rozmowa poważna, ot, taka lekka wymiana zdań, w tonie trochę żartobliwym.

Bagatelizowałam umyślnie naszą rozmowę w ogrodzie, z pod wrążenia której nie mogłam się otrząsnąć,

— No widzicie, odrazu poznałam, że nie jest inteligentny. Ot, taki sobie oficerek z małego garnizonu.

Podskoczyłam i zawołałam żywo:

— Co to, to nie. Życia obozowego, pohulanek, karciarstwa, czczości, szablonu, ani na nim śladu, przeciwnie, jest świeży w myślach i uczuciach i bardzo, bardzo samoistny.

— Czyż mogłaś go tak dobrze poznać przez tę krótką chwilę, spędzoną w ogrodzie?

— Może się mylę, ale takie na mnie zrobił wrażenie — wycofywałam się po trochu ze zbyt pochopnie zajętej placówki.

— Sądzę, że się nie mylisz — podjął ojciec — bo ten chłopiec zrobił na mnie wrażenie takiego, jak mówisz.

— Bardzo szczęśliwie dla was, że jesteście z niego zadowoleni; jeden więcej miły sąsiad w tej pustce, to nielada gratka — rzekła mama z przekąsem.

— Nie mamy się znów tak bardzo z czego cieszyć — podjęłam walkę ze wzbierającą we mnie, jak przypływ morza, głęboką i niewypowiedzianie silną radością.

Ojciec popatrzył na mnie uważnie, zaczerwieniłam się i wstałam po talerzyk do kredensu, aby ukryć zmieszanie.

Ojciec skręcił rozmowę na inny przedmiot i już

tego wieczoru nie było wzmianki o Larysach, ale ja ciągle z niepokojem wyczekiwałam, czy znów kto o nich mówić nie zacznie, tak, jak przestępca, któremu się zdaje, że wszyscy naokół znają jego zły czyn, myślą o nim nieustannie i dla dręczenia go mówić o nim będą.

Z uczuciem ulgi zamknęłam za sobą drzwi swego pokoju, gdyśmy się udali na spoczynek, nie zapaliłam lampy, lecz w mroku usiadłam na oknie, oparłam głowę o szybę i dałam upust łzom, dławiącym mnie od kilku godzin, płynęły obficie i spokojnie, a mnie ogarnęło rozpromienienie tak wielkie, że się bałam poruszyć, odetchnąć, aby nie spłoszyć nowego szczęścia. Zdawało mi się, że jestem gdzieś daleko, daleko za światem, sama, a wokół mnie ten blask niepojęty, ni to spojrzenie, ni to uśmiech, ni to zachwyt serca. Nie myślałam o niczem i nie starałam się myśleć. Co znaczą myśli, gdy istotą zawładnie uczucie? Czasem tylko, jak błyskawice, olśniewały myśl przypomnienia słów, brzmień głosu, uciszeń nagłych, a wymownych, wówczas na twarz wypływał uśmiech, a z oczu sączyły się nowe łzy. Późno już było, gdy wyrwałam się z pod uroku, zapaliłam świecę i poczęłam się sposobić do snu, ale nie szło mi gładko, co chwila zatrzymywałam się znużona wzruszeniem, oczarowana echem przeżytych godzin. Wsunęłam się pod kołdrę, zgasiłam światło, ale

sen nie przychodził i nie pragnęłam go: żal mi było tracić świadomość szczęścia, w którem trwałam. Sen był i będzie, a szczęście dopiero przyszło. O tem czy zostanie, nie myślałam.

Świt był, gdy zasnęłam, aby dalej snuć złotą przędzę, zamotaną na jawie. Obudziłam się wcześnie z poczuciem, że stało się coś niezwykłego i pięknego.

— Aha, tak — przypomniałam sobie bez określenia, co to właściwie za zdarzenie, które mnie przejmuje takiem rozdygotaniem rozkosznem.

Znowu ubierałam się wolno, zatrzymywana jakby niewidzialnemi rękoma czarodziejek, któremi szczęście otoczyło mnie niby dworem, każąc im ciągle w powszednich zajęciach przypominać mi, że ono zjawiło się i jest.

Gdy weszłam do jadalni, przy stole siedział już ojciec z gazetą i czekał na śniadanie; uśmiechnęłam się do niego od progu szczerze, jak do kogoś, kto powiadomiony jest o wielkiej tajemnicy. Odpowiedział mi porozumiewawczo i skinął głową, że wie i że bardzo, bardzo jest rad. Pochyliłam się do jego ręki, pocałował mnie w czoło i rzekł:
— No tak! — z właściwą intonacyą, jak wczoraj Bolek; zaśmiałam się z cicha, rozweselona tem przypomnieniem i wyszłam szybko do kuchni, bo w sąsiednim pokoju zaszemrały kroki mamy.

Przy stole siliłam się na minę obojętną i choć

trochę zwykłej rozmowy, ale gdy zostawałam sama, czy w ogródku na grządkach, czy w swoim pokoju, dawałam się kołysać nieopornie falom życia, które uniosły mnie z twardego brzegu, stanowiącego dotąd pewną podstawę mych kroków. Wieczorem zasnęłam wcześnie z uśmiechem na ustach, znużona, jak po dalekiej, pełnej miłych przygód wędrówce. Obudziłam się późno, z głową ciężką, nieswoja, niezadowolona z siebie, zawstydzona.

— Co to było?

Zmarszczyłam się gniewnie, wstałam, ubierałam się szybko, weszłam do jadalnego krokiem pewnym, trochę zaniepokojona, że tam może spotkam ojca, że znów uśmiechnie się do mnie, jak wczoraj, przypomni tem o chwili odurzenia. Na szczęście jadalnia była pusta i pierwsza zjawiła się mama. Ojca wezwano o świcie do chorego, gdy wrócił, mnie już nie było w domu: zaraz po śniadaniu wyszłam do przytułku, potem do rannego robotnika. Chciałam wstąpić do panny Pauliny, ale zatrzymała mnie myśl, że to właśnie tam u niej zaczęło się owo niebywałe zapomnienie się, oddanie mej dotąd wolnej, pewnej siebie istoty pod władzę obcego mężczyzny, którego prawie nie znałam, który mnie niczem nie zachwycił, a przeciwnie wieloma rzeczami uraził, jakiemuś młodzieniaszkowi o szafirowych oczach, złotej czuprynie

i różowej twarzy, »oficerkowi z małego garnizonu«, niedołędze wtulonemu w mamine spódnice. I to skąd, z jakiej przyczyny? Że mi zaglądał w oczy, uśmiechał się zwycięsko, mówił rzeczy zuchwałe, jakich dotąd żaden mężczyzna mówić mi się nie ośmielił. Zastanowiłam się. Tak, żaden. Wogóle znałam niewielu młodych mężczyzn, bywali u nas jednak koledzy Stefka, ludzie inteligentni, sympatyczni, rozmawiali ze mną chętnie, przyjaźnili się, nawet korespondowali ku niezadowoleniu mamy. Ile razy słyszałam od nich:

— Z panną Anną można rozmawiać, jak z kolegą.

— Panna Anna to prawdziwy człowiek.

Traktowali mnie jak człowieka i dlatego żaden nie rozkołysał tak mej duszy. Ten pierwszy odezwał się do mnie jak do kobiety i oto zabrzmiały nowe struny samych uczuć w pieśni upojenia i szczęścia.

— Sprzykrzyło ci się być człowiekiem — zaszydziłam.

— Mam prawo — buntował się we mnie głos natury.

— Przypomniałaś sobie o tem prawie, gdy pierwszy lepszy młokos począł cię bałamucić w najbanalniejszy w świecie sposób, dlaczegóż nie zgłosiłaś swego prawa przy innej, podnioślejszej sposobności?

Pastwiłam się nad sobą trochę odruchowym lękiem istoty wolnej, która czuła oplątujące ją więzy i pragnęła poszarpać je zawczasu, choćby kosztem cierpienia, trochę niepewna jutra, które mogło przynieść łzy goryczy i zawodu po łzach uniesienia. Chciałam zniszczyć jak najrychlej i do dna rodzące się uczucie.

Resztę dnia spędziłam w towarzystwie mamy, która była wyjątkowo podrażniona nawiedzającym ją od pewnego czasu bólem oczu, częściej więc niż zwykle krytykowała moje słowa i postępki lub czuła się nimi obrażoną. Taki nastrój nie usposabiał do marzeń i zmuszał do panowania nad sobą. To też tego wieczoru zasnęłam odrazu i bez sennych rojeń, obudziłam się zaś zupełnie spokojna, zdziwiona tylko i rozśmieszona przedwczorajszą idyllą i wczorajszym dramatem. Myślałam o Bolku bez wzruszenia, ani miłego, ani odpychającego, jako o chłopcu wesołym, sympatycznym, z którego przybycia w nasze strony i nawiązania z nami stosunków mogę być tylko zadowolona. Że mi trochę zawrócił w głowie, rzecz zupełnie naturalna: nie byłam przyzwyczajona do zalotności mężczyzn, więc pierwsze z nią spotkanie odurzyło mnie, ale to się już nie powtórzy. Nie było jednak o co szat rozdzierać i posypywać głowy popiołem, bo ani on mi w niczem nie uchybił, ani ja nie poniżyłam swego człowieczeństwa tem, że dałam się

na chwilę oczarować młodemu i ładnemu chłopcu. Odtąd będę na jego lekki flircik odpowiadać tym samym tonem, co mi dostarczy wesołej zabawy, rzeczywiście aż nadto rzadko zdarzającej się w monotonnem życiu miasteczkowem.

Swobodna i wesoła zabrałam się do codziennych zajęć. Na wstępie odwiedziłam pannę Paulinę, aby odnieść jej gazety z tych dwu pełnych najsprzeczniejszych wrażeń dni i pogawędzić o nowych, sympatycznych sąsiadach. Panna Paulina była zachwycona, że ma z kim pogawędzić o ważnem zdarzeniu. Opowiadała mi szczegóły ze swego pobytu w Borowej, zresztą poplątane i wypłowiałe w słabo już działającej pamięci staruszki. Jedno wyryło jej się mocno w mózgu, że Kachna była bardzo niezdolna i niechętna do nauki, ale zato dziarska do gospodarki. Widocznie fakt ten był przyczyną wielu zgryzot dla nauczycielki i dlatego nie ulotnił się z jej głowy wraz z innymi. Ostatecznie ze wspomnień, określeń, sądów, wysnuła wniosek, że Kachna była bardzo dobra, bardzo miła dziewczyna, ale zupełnie inna, niż Aneczka, można powiedzieć — przeciwieństwo Aneczki.

To zapewnienie ubodło mnie. Bolek tak kochał matkę, z takim o niej mówił zachwytem. Roześmiałam się w duchu z tego zmartwienia. Cóż mnie mogą obchodzić zachwyty i upodobania Bolka? Czyż to jeszcze echo przedwczorajsze? Na

przekor im gorąco poparłam zdanie panny Pauliny i co mi jednak było mimo walki z sobą niemiłe, w sposób zupełnie słuszny:

— Nie znam wprawdzie jeszcze pani Larysowej, ale z tego, co o niej słyszę, i z pierwszego wrażenia sądzę, że to jest istota bardzo zdrowa, silna i stąd żywotna, mało się interesująca sprawami oderwanemi, ja zaś jestem typem nawskróś umysłowym, co zresztą jest wynikiem wątłego zdrowia i spowodowanego przezeń życia siedzącego, zamkniętego.

— Ty masz w dodatku takiego mądrego, uczonego ojca. Kachna nie miała po kim odziedziczyć zdolności i chęci do nauki.

— Syn jej równie — dorzuciłam rozmyślnie.

— O tym jeszcze nic powiedzieć nie mogę, oprócz, że ładny chłopiec i dobrze mu z oczu patrzy, ale czy to wielki rozum tak koniecznie mężczyźnie potrzebny? — dodała z dziwną skwapliwością i popatrzyła na mnie uważnie.

— Jak do czego — odparłam.

— Na przykład do podobania się Aneczce — powiedziała, uśmiechając się figlarnie.

Zerwałam się z miejsca i podeszłam do okna, by ukryć nagłe rumieńce, a jednocześnie zawołałam z żartobliwą pychą:

— Ho! ho! mnie byle głuptas się nie podoba. Kto ma takiego mądrego ojca...

— Głuptas, głuptas, zaraz głuptas — obraziła się panna Paulina — syn Kachny na głuptasa nie wygląda.

— Ale prochu nie wymyślił, chociaż go nieraz używał.

— E! Aneczka ze swoim prochem — dąsała się staruszka. — A ja Aneczce powiem, że lepsze serce bez rozumu, niż rozum bez serca.

— A ja paniusi powiem, że lepszy i rozum i serce.

— I uroda w dodatku i pieniądze.

— Pieniądze nie, uroda niekoniecznie.

— Jednak miło było Aneczce popatrzyć na ładnego Larysa.

— A pani nie?

— Dobra Aneczka sobie! Cóż ja stara baba, choćbym i oczy wypatrzała na chłopca, to mu nic z tego nie przyjdzie.

— Z mojego patrzenia też nic, więc czemu mnie tym panem paniutka prześladuje? — uczułam się nagle dotknięta.

— Ja cię prześladuję? — staruszce aż łzy w oczach stanęły. — Moja Aneczko złota, toż jabym ci nieba chciała przychylić.

Przyklękłam u jej nóg i całowałam po rękach.

— Wiem, paniutku, wiem i przepraszam. Obruszyłam się trochę, bo bardzo nie lubię, jak ktoś popycha ku sobie młodych ludzi, którzy wcale

o sobie nie myślą, a paniutka jednak chciała we mnie wmówić upodobanie do pana Larysa.

— To już, widzisz, taka mania starych panien swatać wszystkich młodych koło siebie. Może dlatego, że wiedzą dobrze, jak ciężką jest samotność — westchnęła smutnie.

— Moja paniutka — uścisnęłam ją serdecznie i poczęłam mówić o nowinach dziennikarskich, aby odwrócić jej myśli w inną stronę.

Wróciłam do domu, zajęta myślami o sprawach bieżących, tyle było roboty w domu i w ogródku wobec coraz częstszego niedomagania mamy, że było nad czem głowę suszyć. Już dobrze po południu skończyłam gospodarską krzątaninę i siadłam z pilną reperacyą bielizny od prania w ogródku. Dzień był już zupełnie wiosenny, słońce przygrzewało, hiacynty pachniały odurzająco na poblizkim klombie. Szyłam z pochyloną głową, myśli układały mi się równo, w takt poruszeń ręki. Przypominałam sobie, co już w ogródku zrobione i układałam rozkład zajęć na dni następne. Nagle zadźwięczał silnie dzwonek u bramy. Podniosłam głowę, opuściłam ręce, krew zbiegła mi do serca, tchu zbrakło, zamknęłam oczy i siedziałam bez ruchu, jakby w oczekiwaniu doniosłego zdarzenia. Zaskrzypiały schody od werandy, potem żwir na ścieżce, ktoś szedł ku mnie. Serce porwało się niby ptak spłoszony i poczęło bić na trwogę.

Krew buchnęła do głowy, aż wzrok zmąciła, w uszach brzmiały dzwony. Kroki były coraz bliżej, zatrzymały się przy ławce. Nie odrzucałam głowy, nie miałam siły i wiedziałam, kto za mną stoi.

— Dzień dobry, panno Aneczko — zabrzmiał głos Bolka spokojny, przyjazny; to mnie otrzeźwiło, wstałam, wyciągnęłam do niego rękę, ale gdyśmy na siebie spojrzeli, łuna serc padła na twarze i blaskiem swym olśniła oczy; nakryliśmy je powiekami i onieśmieleni, cisi, usiedliśmy na ławce. Skubałam brzeg cerowanej bielizny, on kręcił witkę wierzbiny.

— Cóż słychać? — przemówiłam pierwsza.

— Wiele i nic — odparł — a u pani?

Ta zwięzła, a tak wiele i dokładnie mówiąca odpowiedź ucieszyła mnie.

— To samo — odparłam radośnie i ośmieliłam się podnieść głowę.

Spojrzał na mnie z pod oka z uśmiechem.

— Jakże ręka? — spytałam.

— Nie wiem doprawdy, chyba dobrze, bo nie bolała. Zresztą może i bolała, tylko nie spostrzegłem.

— Ojciec nie zadowoli się taką odpowiedzią — zażartowałam.

— A to dobre, więc ja mam myśleć o jakiejś tam chorej ręce? — oburzył się.

— Rzecz prosta, a o czemże innem?

— O czem? — przechylił głowę i zajrzał mi w oczy. Zmrużyłam je, ale nie cofnęłam.

— No o czem?

— Może i o ręce, ale nie o swojej — wyszeptał zdławionym głosem i roześmiane oczy z nagła mu spoważniały. — Serce mi zamarło, w gardle coś dławiło, odwróciłam głowę w bok i zamknęłam oczy.

— Panno Anno? — zasłyszałam błagalny głos blizki, a jakby gdzieś zdala płynący, tak mi wszystko wokół znikło, ścichło. Poruszyłam ustami, chciałam coś powiedzieć, nie mogłam wydobyć głosu. Uczułam na swoich rękach dłoń Bolka. Ogarnął mnie lęk, wzruszenie tak wielkie, aż bólem przejmujące, targnięcie się najgłębszych tajników duszy, zwichrzenie myśli, jak w najwyższem zapamiętaniu miłosnem. Łzy popłynęły z oczu, zerwałam się z miejsca i poczęłam uciekać ku domowi, gnana trwogą przed tem wielkiem, nieznanem i nigdy niepojętem szczęściem. Wpadłam jak burza do swego pokoiku, zamknęłam drzwi na klucz, oparłam głowę i łokcie o ścianę i trzęsłam się od płaczu.

— Boże! Boże! co się ze mną dzieje?

— Boże! Boże! jakam ja szczęśliwa!

Wyrywały mi się z serca szarpane słowa. Nawałnica uczuć zmogła mnie, obsunęłam się na po-

dłogę i popłakiwałam z cicha, od czasu do czasu wzdychając głęboko, uśmiechnięta, napół tylko przytomna.

Po chwili zaczęłam nasłuchiwać szmerów w domu: ktoś zamknął drzwi od pracowni ojca, po chwili znów je otworzył i wyszedł na werandę. Wraz dobiegło mnie wołanie ojca:

— Aneczko! Aneczko!

Widocznie potrzebował mej pomocy przy opatrunku. Zerwałam się przestraszona i zakłopotana, spojrzałam w lustro, miałam oczy i nos czerwone od płaczu.

— Co ja teraz pocznę?

— Ech, mniejsza: on wie, czego płakałam, a ojciec pomyśli, że zaszło znów coś z mamą.

W tej chwili wstrzymała mnie myśl nowa, myśl, która po raz pierwszy powstała w mej głowie.

— Nie mogę mu się pokazać taka czerwona, obrzękła, brzydka.

Otworzyłam szybko szufladę nocnego stolika, miałam tam trochę pudru, którym kiedyś leczyłam przypaloną rękę, zanurzyłam w nim kawałek waty i upudrowałam starannie nos i policzki pierwszy raz w życiu.

Ojciec tymczasem szukał mnie po domu.

Otrzepałam suknię i poszłam do niego.

— Gdzież ty byłaś? — zapytał i urwał, spojrzawszy na mnie uważnie.

— Ojciec mnie potrzebuje? — rzekłam wymijająco.

— Chciałem, abyś mi pomogła opatrzyć rękę Larysa, ale dam sobie sam radę, nie krępuj się.

— Owszem, zaraz przyniosę gorącej wody.

— Jak uważasz.

Poszedł do pracowni, a ja do kuchni po wodę. Przy kominie zastałam mamę nad kipiącym imbrykiem.

— Gdzieżeś ty była? Ojciec cię szuka i szuka — niecierpliwiła się i jednocześnie jedną ręką ujmowała imbryk, a drugą osłaniała bolące oczy od blasku ognia.

— Mama pozwoli, ja wezmę. Poco mama zbliża się do ognia, skoro ją to razi.

— Cóż miałam robić? Ojcu woda potrzebna, Karolina poszła po bułki, ty się gdzieś zapodziałaś.

— Ale już jestem i niech się mama nie trudzi. Chwyciłam imbryk, nalałam gorącej wody na miseczkę i poszłam do pracowni; gdy przestąpiłam próg, gdy spojrzały ku mnie błagalne i zaniepokojone oczy Bolka, znów serce rozkołysało się w mej piersi, jak dzwon na trwogę, zmieszana, blizka płaczu, postawiłam miseczkę na stole, wyjęłam z szafki opatrunki, poczęłam rozcinać no-

życzkami bandaż na ręce Bolka, ale tak mi dłonie drżały, że ojciec bez słowa odebrał mi nożyczki i zabrał się sam do roboty. Stałam obok z opuszczonemi rękoma, z oczyma na ranie Bolka, którą ojciec przemywał, nie wiedząca, co z sobą począć.

— Możebyś nam przygotowała podwieczorek — rzekł po chwili ojciec, przyjaznym, dodającym otuchy głosem — my sobie tu już damy we dwu radę. Prawda, panie Bolesławie?

— Pewnie — odparł Bolek zmieszanym tonem i ni stąd ni zowąd zaczerwienił się.

Ojciec spojrzał na niego zdziwiony, potem na mnie, łzy mi znów nabiegły do oczu, odwróciłam się i szybko wyszłam z pokoju.

Przy podwieczorku rozmowa ciągle się rwała, mimo wysiłków ojca, by ją podtrzymać, mnie zbierało się na płacz, Bolek miał taką minę, jakby także walczył ze łzami, mama była przygnębiona. Turkot przed bramą, dzwonek, a za chwilę głos pana Ludwika, który już z przedpokoju wołał:

— Jak się macie, kochani państwo!

Był dla wszystkich prawdziwem wyzwoleniem.

— Widziałem pańskie konie na ulicy — mówił do Bolka — wchodząc, domyśliłem się, że pan tu spija smaczną kawkę i pali koperczaki do mojej narzeczonej, pozazdrościłem mu i wstąpiłem.

Bolek zbladł i utkwił w nim przerażone oczy,

ja zaczerwieniłam się, na szczęście pan Ludwik tego nie spostrzegł, bo witał się z mamą.

— Jeszcze Aneczka mówić nie umiała, już ją pan Ludwik nazywał narzeczoną — rzekł ojciec od niechcenia, uważnie wpatrując się w filiżankę.

Bolek odetchnął z ulgą i uśmiechnięty radośnie wstał, by powitać pana Ludwika, który właśnie zwrócił się ku niemu. Zawiązała się między nimi ożywiona gawęda. Pan Ludwik, zawsze gorąco przejęty sprawami Borowej, dopytywał się o każdą dokonaną zmianę, o każdy szczegół gospodarki. Bolek odpowiadał, dopytywał się, radził, jego poprzednie zmieszanie zniknęło zupełnie. Ja też uspokoiłam się po trochu. Dopiero gdy goście ruszyli się do odjazdu i Bolek stanął przede mną, chwycił mnie lęk. On też był onieśmielony, pokornie szukał oczyma moich oczu.

— Pani się gniewa? — zapytał szeptem.

Dopiero w tej chwili zrozumiałam, iż on myślał, że tamto w ogrodzie, to była obraza.

— Nie, nie — zaprzeczyłam żywo i spojrzałam mu serdecznie w oczy.

Uścisnął silnie moją rękę rozpromieniony i rzekł głośno:

— Do rychłego zobaczenia.

Stało się, porwał mnie prąd miłości i niósł bezoporną, zbytą sił i chęci walczenia gdzieś hen do szczęścia lub do klęski.

Leżałam w nocy z otwartemi oczyma, uśmiechnięta, zalana łzami, nie myślałam o niczem, nie starałam się o zaprowadzenie jakiegoś ładu w mej duszy. Poco? Byłam tak bardzo szczęśliwa. Co chwila na usta wypływało kochane imię i słowa tkliwe, dotychczas nie używane, skryte w głębi pamięci.

— Boleńku ty mój, ptaku serdeczny, chłopiątko jedyne, kochanie najmilsze.

A gdy sen począł kleić oczy i myśli mącić, szepnęłam, tuląc głowę do poduszki:

— Śpij smacznie, Bolku! — po raz pierwszy owego wieczora i odtąd zawsze w szczęściu i niedoli i chyba aż po ostatni wieczór życia.

W dzień to chodziłam jak senna, ledwie świadoma tego, co się wokół dzieje, to porywałam się z nagłym przypływem energii do pracy, to wybuchałam istnym szałem wesołości: śpiewałam głośno i skocznie, przekomarzałam się ze sprzętami, z drzewami, z kwiatami, dawałam im śmieszne, a pieszczotliwe nazwiska.

Przyjechali znowu w niedzielę po sumie dowiedzieć się, czy wybieramy się do nich tego popołudnia, jak było obiecane. Ojciec był wolny, mama czuła się lepiej, więc pojechaliśmy.

Tej pierwszej bytności w Borowej, w jego domu, nigdy, nigdy nie zapomnę! Z daleka już wlepiałam oczy w dach sczerniały, gontowy dach,

który mi się wydał najważniejszym dachem pod słońcem i tak szczęśliwym, aż pozazdroszczenia godnym.

— I pomyśleć, że on sobie nawet z tego nie zdaje sprawy — myślałam pół seryo, pół żartobliwie.

Rozwalona brama, zarośnięty trawą dziedziniec i wielki, zniszczony, ponury dom o wielu szybach zaklejonych zbronzowiałym papierem, z obwisłą, napół oberwaną rynną, z wysokimi, niegościnnymi schodami na ganek.

— Pańskie dziady — rzekła mama szydersko — a mnie ta rudera wydała się pełnem uroku, romantycznem schronieniem królewicza z bajki.

Czekał na nas u dołu schodów ten mój złotowłosy królewicz, witał radośnie, prawie ze wzruszeniem, mamę troskliwie wprowadzał na bujające schody.

Pani Larysowa była jeszcze bardziej przygnębiona, niż zwykle, bo zawstydzona biedą i nieładem, ale ojciec, pan Ludwik, którego tam zastaliśmy, Bolek i ja gawędziliśmy z ożywieniem, śmieliśmy się, żartowali.

Bolek przy każdym braku, napotykanym w domu czy w ogrodzie, pierwszy go wskazywał i w żart obracał, pan Ludwik dorzucił swoje odwieczne:

— Tak, tak, jest co robić, jest co robić.

Pokoje wydały mi się wielkie po naszych ma-

łych izdebkach, ale nieprzytulne, chłodne, zaniedbane. W salonie staroświeckie wielkie meble palisandrowe, kryte czarnem włosiem, w wielu miejscach poprzecieranem i sterczącem kolczasto, jak włosienica, na krzywym stole resztki poszarpanego albumu z kilkoma wyblakłemi fotografiami, sczerniały portret-bohomaz na ścianie. Okna, zacienione gałęziami orzechów włoskich, niewiele przepuszczały światła, to też powietrze było stęchłe i wilgotne, jak w piwnicy.

Szczęściem krótko popasaliśmy w tym okropnym pokoju. Za radą pana Ludwika spuściliśmy się po drugich równie wysokich, a bardziej zniszczonych, niż poprzednie, schodach do ogrodu. Dziko w nim było i wilgotno od stojącej, zapleśniałej, pokrytej rzęsą wody, ale odwieczne lipy i poplątane gąszcze leszczynowe nadawały mu pozór i urok puszczy dziewiczej.

— Ślicznie tu — rzekłam.

— Istotnie jest materyał na piękny ogród — przyświadczył ojciec.

— Tylkoby go trzeba doprowadzić do ładu — zauważył pan Ludwik. — Niech się pan ożeni, panie Bolesławie, to żona pana ten ogród w raj przemieni.

— Przydałaby się jeszcze jedna para rąk do pracy — westchnęła pani Larysowa.

— Bardziej chyba posag — dorzuciła mama.

Bolek spłonął.

— Nie jestem na sprzedanie — odparł trochę zbyt ostro.

Mama lekko ściągnęła brwi.

— Bierze pan za gorąco moje słowa; jak kobiecie nie ubliża majątek męża, tak mężczyźnie majątek żony, jeśli z miłości się łączą.

— Nie chcę bogatej żony — upierał się Bolek — pogardzałaby mną i nie chciała pracować.

— Zresztą tutaj w okolicy nie znajdzie pan posażnej żony, a jeśli się pan chce żenić rychło i blizko...

— Pewno, że daleko szukać nie będę — przerwał Bolek panu Ludwikowi.

— Kradnij daleko, a żeń się blizko — wygłosił sentencyonalnie pan Ludwik.

— Blizko, czy daleko, wszystko jedno, byle podług serca — wtrąciła pani Larysowa trochę drżącym głosem.

Pan Ludwik spostrzegł, że mówi o stryczku w domu wisielca, zmieszał się i począł żywo przyświadczać pani Larysowej, »bo miłość jest największą ozdobą życia i t. d.«.

Bolek tymczasem okrążył chyłkiem towarzystwo i podszedł do mnie z taką miną przekorną i chmurną, jakby nas gwałtem chciano rozłączyć, i zapytał ni w pięć ni w dziewięć:

— Prawda, panno Aneczko?

— Prawda — przyświadczyłam, nie zastanawiając się, co ma być prawdą. W tej chwili wszystkie jego prawdy były mojemi.

Reszta domu i przyjęcie u Larysów odpowiadały salonowi i ogrodowi: obdarte obicia, krzywe sprzęty, brak naczyń, potrawy przyrządzone na prędce, prawie się wierzyć nie chciało, żeby pani Larysowa była zawołaną gospodynią.

— Przepraszam, przepraszam — powtarzała ciągle cała w rumieńcach upokorzenia — tyle mam pracy w polu i podwórzu, że mi nie stać czasu na przypilnowanie gospodarstwa domowego.

— Tak, tak, trzeba młodej pani — dorzucił pan Ludwik.

A ja myślałam, coby tu było pracy i prężyły mi się do niej ręce i rwała dusza.

W kilka dni później przy święcie byliśmy znów wszyscy u pana Ludwika.

— Jak tu czyściuchno, jak przytulnie! — zachwycał się ciągle Bolek — dobrze byłoby żyć w takiem zaciszu, prawda, panno Anno?

— Prawda — uśmiechałam się do wabiących myśli.

— U nasby tak mogło być — szepnął napół do siebie.

— Tak — odparłam.

W niedzielę myśmy podejmowali gości liczniejszych, niż w Borowej i u pana Ludwika, bo był

i kanonik z siostrą i wikarym, i panna Paulina, i burmistrz, i rejent i kilku jeszcze przedstawicieli tak zwanej inteligencyi miasteczkowej. Miałam więc sporo zajęcia i nie mogłam dotrzymywać towarzystwa gościom; zrozpaczony tem Bolek wykonał zamach stanu i wtargnął za kulisy gospodarskie, aby mi pomagać. Pan Ludwik mrużył oczy, mama była kwaśna, a pani Larysowa jak zwykle przygnębiona, my zaś dokazywaliśmy, jak dzieci, bo atmosfera sosów i kompotów nie usposabiała do wzruszeń serdeczniejszych. Czasem tylko na krótką chwilę jego oczy zatapiały się w moich i wywabiały uśmiech i rumieniec na twarz, to dłoń rozswawolona, a niby pomocna, przytrzymywała moją nad salaterką lub koszem owoców, ściskała silnie i cofała się przerażona swem zuchwalstwem. Było za wiele wesołości, a za mało skupienia tego dnia i dlatego nie padły między nami słowa wyroczne.

Stało się to nazajutrz. Przyjechał konno umyślnie zaraz po obiedzie. Ojca nie było, mama drzemała w sypialni. Spotkał służącą, myjącą w sieni podłogę, i zapytał odrazu o mnie. Szyłam w ogrodzie, z powodu upałów w najbardziej zacienionym kątku przy murze, skąd przez liście dzikiego wina rozciągał się rozległy widok na pola i góry. Dojrzałam Bolka z daleka. Gdy tylko zstąpił ze schodów werandy, opuściłam ręce na kolana i czeka-

łam. Byłam pewna, że niesie mi słowo ostatnie. Zapanowała we mnie cisza i powaga prawie surowa, serce biło mocno, lecz równo, myśli stawały się jasne i świadome. Gdy stanął u wejścia do altanki, pod girlandami gałęzi winnych, wstałam i bez uśmiechu, z oczyma w jego oczach, wyciągnęłam rękę. Uścisnał ją i nie puszczał, zbladł i milczał, poruszył ustami, lecz widocznie zbrakło mu na chwilę odwagi, bo uciekł oczyma w stronę wylotu na pole i rzekł nieswoim głosem:

— Jak tu pięknie!

— Tak — przyświadczyłam zwolna.

Nagle ciągle w dal wpatrzony podniósł ruchem szybkim rękę moją do ust i wyszeptał zdyszanym głosem prawie ze szlochem:

— Moja!

— Twoja — odparłam spokojnie i stanowczo.

Był blady, trząsł się, oczy miał pełne łez. Wyciągnął drugą rękę drżącą, podałam mu swoją. Podniósł ją też do ust i znów wyrwał z głębi serca:

— Moja żona!

Nagle spokój mój prysnął, serce poczęło się trzepać, z oczu popłynęły łzy. Oparłam głowę na ramieniu Bolka i wyłkałam:

— Mój mąż!

Objął mnie ramieniem i przygarnął tkliwie, oparł policzek na mej głowie i końcami ust całował leciuchno w czoło. Widziałam dokładnie dal

rozbłękitnioną, zarys gór, ciemną smugę lasu, rozechwiane łany zbóż i tuż przed oczyma listek winny, który dygotał szybko w przeciągu powietrza. Myśli, jakby przerażone nadmiarem szczęścia, uciekały od najważniejszej sprawy, nie chciały się na niej skupić i objąć w posiadanie, lecz skakały z jednego przedmiotu na drugi, czepiały się rzeczy najdrobniejszych, tak drobnych, że zazwyczaj niedostrzegalnych.

— Listek drży, drży — snuło mi się po głowie — widocznie jest przeciąg w otworze na pole. Czy on tak zawsze drży?

Nagle Bolek odsunął mnie od siebie, zajrzał w oczy i zawiadomił radośnie:

— To już Aneczka moja!

Uderzyły na mnie płomienie zawstydzenia, nieśmiałości, olśnienia. Zmrużyłam oczy, jak przed zbytnim blaskiem, i skryłam twarz na ramieniu Bolka. Starał się ją podnieść. Nie dałam i prosiłam:

— Nie, nie, zostaw.

Poprowadził mnie do ławki. Siedliśmy przytuleni do siebie, ja ciągle z głową na jego ramieniu.

— Kochana, malutka, moja! — szeptał mi do ucha.

Kiwałam głową, że tak.

Siedzieliśmy tak długo prawie bez słowa, kiedy

niekiedy tylko szepcąc nazwy niemądre i słodkie.

Zabrzmiał głos ojca na werandzie:

— Aneczko! Aneczko!

Bolek zerwał się, otrząsnął, wyprostował.

— Oświadczę się rodzicom.

— Zaraz? — zapytałam niechętnie, tak było dobrze być szczęśliwym tylko we dwoje.

— Tak, tak, trzeba skończyć i niedługo się przecież pobierzemy.

— Jak chcesz — przystałam.

Bolek szedł krokiem sprężystym ku domowi, jak do ataku, ja za nim wolno, jeszcze cała w tumanach rozmarzenia. Na werandzie czekał ojciec. Bolek bez wstępu, głośno wyrecytował wyuczone zdanie:

— Mam zaszczyt prosić pana o rękę panny Anny.

Ojciec zmieszał się i zaczerwienił.

— Jakto? jakto? — powtarzał zaskoczony.

Bolek stracił rezon, mrugał oczyma i nie wiedział, co dalej mówić. Wreszcie ojciec wybrnął:

— To zależy od Aneczki.

Właśnie wchodziłam na schody.

— Cóż ty, Aneczko? — zwrócił się do mnie.

— Ja, tatusiu, ja owszem — jąkałam się, jak podlotek. Nareszcie chwyciłam rękę ojca i, podnosząc ją do ust, wyszeptałam:

— Kocham go, tatusiu.

Bolek poszedł za moim przykładem. Ojciec przygarnął nas ku sobie, całował w głowę to mnie, to Bolka i zaczął uroczystym tonem:

— Moje dzieci... — ale mu się głos złamał, więc umilkł i tylko nas tulił do siebie. Po chwili puścił nasze ramiona i zwrócił się ku drzwiom.

— Chodźmy do mamy — rzekł.

Mama nie była zdziwiona, ale zato niezadowolona.

— Jak Aneczka chce — powtarzała dobitnie, zaznaczając tonem, że ona nie chce tego małżeństwa — Aneczka jest panią swojej woli.

Bolek uczuł niechęć, ochłonął odrazu, stał się sztywny, choć ugrzeczniony. Nasze słodkie, dziecięce roztkliwienie znikło zupełnie. Chłodno układaliśmy projekty ślubu, wyprawy, umeblowania domu, chciało mi się płakać i czułam okropne zmęczenie. Dopiero, gdy na pożegnanie Bolek przy rodzicach pocałował mnie w rękę, rozpromieniłam się znowu.

Jak pani Larysowa przyjęła wiadomość o naszych zaręczynach, nie wiem i nigdy się dowiedzieć nie mogłam. Bolek na moje zapytanie odpowiedział:

— Mama zbyt szanuje miłość, aby się sprzeciwiać memu szczęściu.

Sądzę jednak, że pragnęła lepszej partyi dla

syna, który przy swej urodzie i zaletach charakteru mógł ożenić się z panną ładną, z dobrej rodziny i bogatą.

Nazajutrz przyjechała, jak zwykle żałobna, przygnębiona, w kilku słowach podziękowała rodzicom za »zaszczyt wyświadczony« jej synowi, dodała, że żonę Bolka czeka w Borowej ciężka praca i życie monotonne bez rozrywek, pocałowała mnie w głowę i zapadła w milczenie. Ojciec był wzruszony, trochę uśmiechnięty, ale niespokojny. Oprócz nas promieniał tylko pan Ludwik. W swem niedoświadczeniu starokawalerskiem wyobrażał sobie, że do szczęścia małżeńskiego miłość wystarczy. Był równie naiwny, jak my oboje.

Z miesięcy narzeczeństwa mam tylko wspomnienie spojrzeń, uśmiechów, pieszczot. Słów zamieniliśmy niewiele, jeżeli, to tkliwe, starczące za pieszczotę. Nie mówiliśmy ani o przeszłości, ani o przyszłości. Przeszłość zapadła w pamięci, jakby nigdy nie istniała, przyszłość błyskała ku nam jedną wielką łuną szczęścia niewyobrażalnego, niewypowiedzianego.

Czasami dawniej, gdy myślałam o narzeczeństwie Jani, swojem czy o narzeczeństwie wogóle, wyobrażałam sobie, że to jest przedewszystkiem bezustanna rozmowa, na której zawsze czasu niedość, zwłaszcza, jeżeli narzeczeni znają się od niedawna. Zdawało mi się, że jeżeli dwoje ludzi ma

połączyć życie swe na dolę i niedolę, stać się sobie najbliższymi na świecie, to powinni opowiedzieć nawzajem wszelkie czyny, myśli, uczucia, wszelkie przemiany, jakim podlegały ich dusze w dotychczasowem życiu, powinni najprzód poznać się dokładnie, aż do najtajniejszych zakątków istoty. I oto przyszła dla mnie chwila związania życia mego z życiem kochanego mężczyzny na zawsze, przyszła niespodziewanie, olśniła blaskiem szczęścia, a przecież ja tego mężczyzny nie znałam prawie zupełnie, o jego życiu, o nim samym wiedziałam niewiele, on także wygłaszał o mnie najfałszywszy sąd przy pierwszem spotkaniu; rządził się pragnieniem serca, lecz nie znajomością mej duszy. Zdawało się, te kilka miesięcy, dzielące nas od ślubu, winniśmy wypełnić nieustannem badaniem siebie, zwierzeniami, prostowaniem pomyłek, przygotowywaniem porozumienia się i zżycia, a myśmy milczeli. Godziny całe spędzaliśmy we dwoje w naszej altanie lub na kanapce w rogu salonu, przytuleni do siebie, ręka w rękę, zasłuchani w swoje oddechy i stukanie serc, w te ciche szepty szczęścia: oto obok jest kochany człowiek, kochany i kochający, płyną minuty, kwadranse, godziny — szczęście trwa. Kiedy niekiedy zwrócą się ku sobie promienne twarze, spojrzą zwilgotniałe oczy, złączą się usta na krótką chwilę

i potem znów tylko szmer oddechów i serc: miłość, miłość, miłość!

Aż przyszedł dzień ślubu, przykry, nużący dzień. Tak pragnęłam, abyśmy się pobrali rano, w gronie najbliższych, bez parady i długich ceremonii. Mama i Bolek nie przystali na to. Mama wyprawiała pierwsze wesele w domu, chciała więc, aby było o ile możności jak najhuczniejsze, chociaż ciągłe niedomaganie oczu i moje konieczne usunięcie się od zajęć gospodarskich w chwili ostatniej przyczyniały jej wiele kłopotu i trudu. Może chodziło jej nie tylko o popisanie się przed ludźmi, lecz także o zagłuszenie niepokoju o moją przyszłość. Bolek upierał się też przy licznym orszaku, uroczystym ślubie wieczorem, białej sukni i welonie.

— Raz się człowiek żeni — mówił — raz przystępuje do tego szczęścia, należy ten dzień wyróżnić od dni powszednich, uczcić doniosłą chwilę i chcę wziąć swoją panienkę w bieli, z welonem, w kwiatach, taką prawdziwą pannę młodą, o której się od dzieciństwa marzyło.

Wydawało mi się to trochę dziecinne i powierzchowne, ale nie chciałam mu psuć radości krytyką, więc przystałam w milczeniu. Zresztą wówczas wszystko mnie w nim zachwycało, nawet śmieszności i wady. Za nic w świecie nie zgodziłabym się na żadną w nim zmianę, kochałam go

takim właśnie, jakim był. Chciał uroczystości i miał je. Sproszono wszystkich znajomych z miasteczka i z okolicy, przyjechał Stefek z Rumunii, gdzie wówczas kolej budował, Jania przysłała długi telegram z życzeniami aż z Paryża, gdzie czekała przybycia drugiej córki. Dom przemeblowano do niepoznania, pożyczono służby i nakryć od kanonika. Mój pokój tonął w białych kwiatach, których dostarczył pan Ludwik, ogołociwszy swój śliczny ogródek. Mama i zaproszone panie szumiały jedwabiami pachnących naftaliną i przerobionych sukien, panowie świecili białością gorsów. Ja po bezsennej skutkiem nadmiaru wzruszeń nocy, z obolałą głową, z wypiekami, zmęczona, blizka płaczu, czyniłam wysiłki, aby dostroić się do radosnego usposobienia Bolka. W dzień udawało mi się to jako tako, ale, gdy nadszedł wieczór, gdy wdziałam niewygodną ślubną suknię z krępującym trenem, pantofle na wysokich korkach, których nigdy nie nosiłam, miałam więc wrażenie, że powykręcam nogi lub upadnę, gdy mi wpięto ciężki wianek z welonem i gdy pośród tej całej bieli wyjrzała ku mnie w lustrze twarz moja rozczerwieniona, ze świecącym nosem, otoczona śmiesznymi zwojami tiulu, jak twarz świętej na feretronie, ogarnęło mnie takie zniechęcenie, że z oschłem sercem weszłam do salonu, prowadzona przez mamę, bez wzruszenia przyjęłam błogosławieństwo rodzi-

ców i pani Larysowej, sztywno pożegnałam roztkliwiające się panie i uroczystych panów z utajonem a gorącem pragnieniem, aby jak najprędzej skończyła się ta śmieszna i upokarzająca komedya, pojechałam do kościoła i poddałam się dalszym ceremoniom.

Bolek zato miał oczy pełne łez, a usta uśmiechów, rozdawał uściski dłoni i pocałunki na wszystkie strony, nawet głos jego nabrał tonów głębokich i tkliwych. Na szczęście mój nastrój niechętny wziął za zbytek wzruszenia i lęk, ściskał więc często dłoń moją serdecznie, rzucał spojrzenia zachęcające. Byłam zanadto zmęczona i rozdrażniona, aby mu na nie odpowiadać. Nawet, gdyśmy się znaleźli na chwilę sami w karecie, gdy mnie tulił do siebie i szeptał najczulsze słowa, milczałam, aby nie wybuchnąć płaczem i nie pogorszyć stanu, w którym się znajdowałam, i tak już dosyć rozpaczliwego. Reszta wieczoru weselnego została mi w pamięci, jak ciężki, gorączkowy sen: drżałam ze zmęczenia i zdenerwowania, uśmiechałam się z wysiłkiem, ledwie mogłam głos wydobyć, przy obiedzie nic prawie nie jadłam, a obok mnie jaśniał Bolek coraz bardziej zachwycony i rozczulony, mama miała minę ważną i dostojną, pani Larysowa rozpogodziła się trochę, tylko ojciec, gdy wstawał od stołu, by nalać gościom wina, rzucał mi współczujące, dobre spojrzenia. On je-

den w tem licznem gronie ludzi blizkich, kochających, życzliwych, rozumiał, co się we mnie działo.

Sądziłam, że już nie wrócę do tych kartek. Miałam przed tygodniem silny krwotok i życie moje blizkie było końca. Przez kilka dni walczyłam ze śmiercią, która ogromną słabością omotywała mi członki, a mrokiem myśli. Gdybym umarła w tych dniach, byłaby to śmierć prawie nieświadoma, tak słabo pełgał płomyk mego ducha; lecz jeszcze raz rozgorzał silniej i jeszcze mogę myśleć i czuć po dawnemu, choć sił jestem zbyta, nie opuszczam łóżka, ledwie się dźwignąć mogę do siedzenia na posłaniu, wsparta o poduszki, a ręka drży tak, że pismo staje się nieczytelne. Piszę jednak, bo chcę jeszcze trochę pogawędzić z sobą, chcę rozważyć raz jeszcze te właśnie wspomnienia, do których doszłam w pisaniu, wspomnienia małżeństwa, rozważyć dziś w ostatniej godzinie, gdy mogę się zdobyć na większą niż dotychczas bezstronność i sprawiedliwość i wyplenić z serca urazę i gorycz, pozostałe z owych lat najboleśniejszych w życiu. Jeżeli się bardzo cierpi, jeżeli się traci szczęście bez winy, trudno wtedy patrzeć jasno na sprawę, trudno przyznać, że ci, którzy skrzywdzili, nie byli również winni i dlatego ja przez długi czas, mimo perswazye, roz-

ważania, mimo nawet postępowanie o ile możności jak najsprawiedliwsze i słowa uniewinniające, chowałam na dnie serca żal do Larysów za wszystkie nieszczęścia, które na mnie małżeństwo z Bolkiem sprowadziło. Dziś jednak, gdy już jestem prawie ponad życiem, gdy moje uczucie dla Bolka straciło miłosne pierwiastki i przeszło w serdeczną tkliwość, gdy związane z niem wspomnienia już mi nie sprawiają bólu, dziś przyznaję bez przymusu, bez wmawiania w siebie, że oni nie byli winni, i mogę w tych ostatnich chwilach pojednać się z nimi z całego serca, mogę jeszcze i o tym okresie życia powiedzieć, że choć był ciężki i bolesny, ale nie był zły ni brzydki, bo nie brak dobrej woli go zamącił, lecz smutny układ warunków. Pani Larysowa miała dwie namiętności w życiu: miłość dla męża i przywiązanie do Borowej. Gdy mąż umarł, czepiała się wszystkiemi myślami i uczuciami wsi rodzinnej. Gdyby ją utraciła, utraciłaby cel istnienia, a utrata Borowej była blizką. Niesłychana ruina gospodarska, długi hipoteczne i brak pieniędzy czyniły zdawało się subhastę majątku nieuniknioną. Pani Larysowa skupiła wszystkie władze ducha i ciała, aby Borowę uratować, ale na to trzeba było ciężkiej pracy, wyrzeczenia się wszelkich wygód i przyjemności życia. Bez wahania poniosła w ofierze siebie, syna, mnie, nasze szczęście. Uczyniła to nie ze złej woli, lecz

kierowana ślepem przywiązaniem do tego domu w upadku i do tego kawałka ziemi, które stawiała w obecnej chwili ponad wszystko, bez których żyćby nie mogła. Właściwie nie zastanawiała się nad tem, nawet na myśl jej nie przyszło, aby można sprzedać Borowę, kupić mniejszy majątek lub wziąć w dzierżawę i żyć spokojnie, bez szarpaniny, bez przepracowania dla wszystkich. Bolek myślał i czuł, jak matka, sam zdawał sobie z tego sprawę, powiedział mi o tem przy pierwszem spotkaniu, było mu z tem dobrze, inaczej żyćby nie umiał. Czyż mogę więc mieć urazę do niego, za to, co było nieodłącznym składnikiem jego istoty? Kochał Borowę, bo kochała ją matka i od dzieciństwa opowiadała mu o niej, jak o ziemi obiecanej, pragnął jej utrzymania, bo ona tego pragnęła, przepracowywał się i mnie przepracowywać się kazał, bo inaczej nie dałoby się Borowej uratować. Mimo to oni w tem gorączkowem życiu nieustannej pracy i zmęczenia czuli się szczęśliwi, a ja nie; ich ożywiała miłość do Borowej, więc ich wysiłki wydawały im się usprawiedliwione, ja znienawidziłam wkrótce ponury dom, wielkie podwórze i rozległe pola borowieckie, więc praca ich i moja, by się przy tem utrzymać, była dla mnie wysiłkiem bezsensownym. Co ważniejsze jednak, oni byli zdrowi i silni, a ja wątła i słaba, dla nich zmęczenie było trochą przykrości, dla mnie —

męką, oni wieczorem zapadali w sen kamienny i budzili się rano ochoczy do pracy, trud podniecał im apetyt, ja obolała, zgnębiona, leżałam do północy i dłużej, z szeroko otwartemi, pałającemi oczyma, zasypiałam lekko, niespokojnie, budziłam się bardziej rozbita, niż wieczorem, przy stole jadła tknąć prawie nie mogłam. Ciągnęłam opuchnięte nogi, z palącemi stopami, krzyż mnie bolał, jak przetrącony, w głowie rwało i huczało, w oczach się ćmiło. W dwa tygodnie po ślubie już byłam tak cierpiąca i stan ten ciągle się pogarszał, nawet zima, zwykły czas wytchnienia na wsi, mnie nie ujmowała pracy. Zajmowałam się domem, ogrodem i gospodarstwem mlecznem, które, dobrze postawione, równie wiele dawały zajęcia w zimie, jak i w lecie. Wysyłaliśmy masło śmietankowe do najbliższego dużego miasta. Musiałam więc pilnować wirówki, wyrobu masła, gotowe ważyć, cegiełkować, zawijać w papier, pakować, a wszystko to latem w piwnicy, zimą w słabo ogrzewanej mleczarni. Odmrażałam nogi i ręce, nabawiałam się kataru i kaszlu. Po dwu latach takiego życia poczęłam kaszlać nieustannie, a po trzech już i krwią plułam. Czyż wobec takiej męki fizycznej warto jeszcze wspominać o przykrości umysłowej, jaką był dla mnie, istoty nawskróś intelektualnej, brak czasu na czytanie, na zajmowanie się ruchem społecznym, literackim,

artystycznym, całem słowem życiem ogólnem, szerokiem i głębokiem, które dotychczas uważnie śledziłam ze swego cichego zakątka w miasteczku? Trzecia zgryzota była najgorsza, gdyż odsunęła ode mnie Bolka i sprowadziła moje odejście. Był nią brak dziecka.

Bolek, jako mężczyzna normalny, nie mógł się zadowolić miłością dla samej miłości, jeśli mnie pokochał i poślubił, to tylko dlatego, aby mieć dziecko. Pragnął też kosztem krwawej pracy i wyrzeczenia się wygód i przyjemności życia uratowaną Borowę zostawić synowi. Te jego ojcowskie uczucia jeszcze przed ślubem zaczęły przychodzić do głosu, gdy razu pewnego, sprzeciwiając się uroczystemu ślubowi w białej sukni, rzekłam:

— Kiedyż ja będę miała sposobność potem tę suknię włożyć?

On pochylił się do mego ucha i szepnął z miną tajemniczą i rozradowaną:

— Na chrzciny.

Od dnia ślubu, w chwilach gawęd samotnych, nie mówił o niczem prawie innem, tylko o tem upragnionem dziecku. Pod nawałem trosk codziennych tkwiła myśl o niem bezustannie. Już w pierwszych chwilach naszego pożycia czułam, że nie kocha we mnie żony, lecz przyszłą matkę, że w największem uniesieniu nie żyje wyłącznie chwilą

obecną, lecz biegnie myślą i uczuciem w przyszłość. Zachwycało mnie to w nim. Przecież i ja na dnie serca byłam przedewszystkiem matką. Co za ogrom szczęścia mieć dziecko z człowiekiem tak go pragnącym, jak Bolek! Po pierwszych tygodniach, które nie urzeczywistniały naszych marzeń, Bolek począł się niecierpliwić, a ja lękać. Bardziej świadoma tych spraw, niż on, wiedziałam, że ciężka praca, potęgująca coraz więcej moją anemię, może być ważną przeszkodą do macierzyństwa, nie śmiałam jednak o tem mówić, nie pozwalała mi na to duma. Skoro nie wniosłam Bolkowi posagu, skoro jadłam chleb, przez niego i matkę zapracowany, winna im byłam pomoc w pracy taką, jakiej ode mnie wymagali; jeżeli skutkiem tego nie mogłam spełnić innych pokładanych we mnie nadziei, nie moją to było wprawdzie winą, lecz, podług swego mniemania, nie miałam prawa zwracać pierwsza na to uwagi: to mogło wyjść tylko od nich. Oni zaś, zdrowi, silni, nawet nie przypuszczali, aby praca, rzecz tak naturalna, mogła przeszkadzać innej sprawie również naturalnej. Szukali więc winy we mnie, a właściwie w moim organizmie. W kilka miesięcy po ślubie Bolek zaproponował, abym zasięgnęła rady ojca. Odmówiłam ze łzami w oczach. Nie chciałam stawiać w trudnem położeniu tego najdroższego i najsubtelniejszego człowieka. Wiedziałam dobrze, iż jego oczy badawcze i kochające widzą moją

niedolę, a tylko rozum i delikatność nie pozwalają mu mieszać się w nasze sprawy domowe, choć serce krwawi. Cóż mi powie, gdy go zapytam wprost? Że zabijam się pracą, że w takich warunkach nigdy dziecka mieć nie będę. I jakąż da na to radę? Żadnej, bo żadnej dać nie może w tym razie. Gdy jednak minął rok blizko, a dziecka jak nie było, tak nie było, pani Larysowa, która z początku w skrytości serca może nawet obawiała się tego nowego przybysza, usuwającego mnie na czas pewien od pracy i przyczyniającego zajęcia, poczęła współczuć z Bolkiem w jego zmartwieniu i zabierać głos w tej sprawie. Czy jednak nie pojmowała, co właściwie jest najważniejszą przyczyną zawiedzionych nadziei, czy pojąć nie chciała, przekładając dobro Borowej nad dobro syna, dość, że o mem przepracowaniu nigdy nie wspomniała, zalecała tylko różne kąpiele, ziółka, babskie środki. Zgadzałam się na wszystko, z głęboko skrytem rozżaleniem, zgadzałam się, by nic mi nie mogli zarzucić i by nie zaproponowała zasięgnięcia porady u ojca. I to jednak przyszło, lecz nie zwróciła się z tem do mnie. Może uprzedzona przez Bolka o mej odmowie, zagadnęła wprost ojca, gdyśmy wszyscy razem gawędzili którejś niedzieli w ogrodzie po kolacyi. Mamy nie było wówczas, gdyż od kilku miesięcy leczyła się w stolicy w instytu-

cie oftalmicznym, niestety bez skutku: wkrótce potem wróciła do domu zupełnie niewidoma.

Ojciec zbladł trochę, ale odrazu zaproponował mi badanie. Zgodziłam się. Pozostałam potem w sypialni i ukryłam twarz zalaną łzami w poduszkach. Przez otwarte drzwi słyszałam głos ojca zmatowany, jak zwykle, gdy tłumił wzruszenie:

— Jest anemiczna, wyczerpana i dlatego nie ma dziecka. Gdyby się wzmocniła, mogłaby zostać matką.

Nasłuchiwałam odpowiedzi z zapartym oddechem, jak wyroku śmierci lub życia. Przez chwilę panowało milczenie, wreszcie pani Larysowa rzekła:

— To może jej pan coś zapisze na wzmocnienie.

Opadłam z łkaniem na poduszki. Więc nie zrozumiała, lub zrozumieć nie chciała, więc znowu męka, znowu daremne oczekiwanie na dziecko i tak wciąż, wciąż aż do śmierci! W tej chwili pragnęłam umrzeć, było mi tak źle. Odtąd przybyło mi jedno jeszcze udręczenie: Bolek pilnował, abym się »wzmacniała«, więc przy stole była walka, abym jadła, potem skrupulatne odliczanie kropel lub pigułek, a gdy jeść nie mogłam, przemęczona do niemożliwości, gniewał się, dowodził, że udaję, wychodził z jadalni zniecierpliwiony, aby przy następnem jedzeniu rozpocząć tę samą historyę. Dotąd

jednak życie, choć ciężkie, było jeszcze znośne, nie czułam się w Borowej obcą, ni otoczoną ludźmi wrogimi, w zabiegach Bolka o podniesienie mych sił widziałam obok pragnienia ojcostwa i dbałość o mnie, w jego pieszczotach — miłość niewygasłą. Przyszła chwila, że i to mi zostało odjęte. Było to jakoś w maju. Od rana funtowałam masło, a po południu poszłam do ogrodu sadzić kapustę sama, gdyż z powodu nawału zajęć w polu nie mógł mi Bolek dać nikogo do pomocy. Słońce dogrzewało silnie, to też wkrótce znój zrosił mi czoło, w głowie poczęło huczeć, piersiom tchu brakło. Chciałam wstać z zagonu, odpocząć chwilę w cieniu na ławce, gdy jednak wstałam, zakręciło mi się w głowie i upadłam napół zemdlona na ziemię, przyczem uderzyłam bokiem o motykę. Ból mnie ocucił, dociągnęłam się na kolanach do ławki i siadłam, dysząc ciężko. Po chwili uczułam się trochę silniejszą, więc zawlokłam się do domu i położyłam na łóżku. Tętna biły mi w skroniach, serce rwało się, jak szalone, w piersiach dusiło, łzy biegły po twarzy nieopanowane, cała postać drżała. W sąsiednim pokoju dały się słyszeć kroki. Wszedł Bolek, zaniepokoił się, podbiegł do łóżka:

— Co to, co ci się stało?

— Słabo mi — szepnęłam dygoczącym głosem.

Schylony, patrzył na mnie uważnie i nagle twarz mu spłonęła i rozjaśniła się uśmiechem szczęścia.

— A może ty, a może ty?... — prawie bał się skończyć olśniony możliwością tak długo oczekiwanego wydarzenia.

Ten uśmiech, ten głos, brzmiący radością, ta myśl właśnie w obecnej chwili tak niemożliwa, dotknęły mnie, jak zniewaga.

— Ach nie, nie! — wykrzyknęłam z płaczem.

— Czy tylko jesteś pewna? — naglił, ujmując mnie za rękę.

Wyrwałam mu ją, odwróciłam się do ściany i szlochałam w najwyższem rozżaleniu.

— Nie, nie, napewno nie! Daj mi pokój, nie męcz mnie.

Wyprostował się.

— Więc to tak, to tak! — powtarzał z hamowanym gniewem — więc to tak!

Skierował się ku drzwiom i wyszedł, zatrzaskując je z rozmachem. Odtąd skończyły się pocałunki, przytulenia, tkliwe słowa, nawet ton głosu jego stał się wrogi. Skończyło się też pilnowanie, bym jadła i zażywała lekarstwa. Jeśli nie odsunął się ode mnie całkowicie, to chyba dlatego tylko, że mimo wszystko łudził się jeszcze nadzieją, iż jego pragnienia ojcowskie się spełnią.

Nastały dla mnie czasy tak ciemne, iż ni je-

dno nie błyskało w nich światło. Czułam wokół siebie niechęć, rosnącą z dnia na dzień, upadałam pod nawałem pracy, wyczerpana z sił ostatka, chora, a przed sobą nie widziałam żadnego wybawienia, oprócz śmierci. Pragnęłam jej z całego serca i czasem przychodziła mi myśl okropna, że i oni tego pragną. Zamarły we mnie wszelkie uczucia tkliwe i delikatne, już nawet nie starałam się ukrywać swego rozpaczliwego stanu: przychodziłam do stołu zapłakana, mówiłam tyle tylko, ile wymagały wspólne sprawy, siedziałam przygarbiona, jadłam niewiele, nie tłumiłam kaszlu, a rano, gdy ściągałam umęczone ciało z łóżka, obwieszczałam stękaniem ból wszystkich członków i okropne przygnębienie. Opanowywałam się tylko przy rodzicach, rzadko ich jednak widywałam w tym czasie: mama, zupełnie niewidoma, nie chciała nigdzie wychodzić, ni wyjeżdżać, ojciec wszystkie wolne chwile spędzał przy niej, tem bardziej, że skutkiem zmartwienia ślepotą często podlegała silnym cierpieniom wątrobianym. Odwiedzałam ich czasem, a wówczas, by nie przyczynić im zgryzoty, tamowałam kaszel, zdobywałam się na głos o ile możności czysty i silny, na rozmowę spokojną. Mamę udawało mi się złudzić, ale nie ojca. Nieraz czułam na sobie jego badawcze, zaniepokojone oczy. Udawałam, że tego nie spostrzegam, a on wzdychał i chylił głowę. Cóż miał czynić,

póki ja milczałam, póki starczyło mi sił i męstwa do wytrwania na stanowisku?

Sądziłam, że to rozpaczliwe położenie skończy się dopiero z moją śmiercią, długo nie przychodziło mi na myśl inne rozwiązanie, aż drobne zdarzenie natchnęło mnie nowem postanowieniem, które, chociaż boleśnie zraniło me serce, mimo wszystko Bolkowi oddane, wybawiło nas jednak z sytuacyi zdawało się bez wyjścia.

Pewnego ranka, jak zwykle, z jękiem wstawałam z łóżka, gdy usłyszałam za sobą ciężkie westchnienie. Odwróciłam się: w progu stała pani Larysowa i patrzyła na mnie ze współczuciem, a po twarzy jej płynęły łzy. Na mój wzrok odwróciła się szybko i wyszła, a ja obsunęłam się na poduszki z rzewnym płaczem.

Więc ona widzi moją mękę, więc ze mną współczuje, więc żywi względem mnie nie gniew i niechęć, lecz uczucie tkliwe, dobre; jeżeli ja cierpię, to i ona także i Bolek może również, tylko mi tego nie umieją okazać lub ja im utrudniłam porozumienie ze mną skrytością i dumą. Należy pomówić z nimi otwarcie, że ta praca nad siły mnie zabija, że ja tak dłużej nie mogę, że muszę wypocząć, wydobrzeć, a potem pracować tylko trochę, w miarę sił. I wnet nasunęło się pytanie: więc któż będzie za mnie pracował? Osoba płatna, a ja będę ciężarem im, którzy pracują bez wytchnienia,

którzy zlewają się krwawym potem, aby uratować Borowę. Nie dałam im dziecka i jeszcze utrudnię zachowanie ukochanej ziemi.

— Boże, Boże! Co począć? Tak przecież dłużej być nie może.

Naraz prawie odruchowo szepnęłam:

— Odejdę, pójdę precz, wrócę do domu, uwolnię ich od siebie.

Podniosłam zgorączkowaną głowę i zastanowiłam się spokojnie.

— Dlaczegożby nie? Rodzice przyjmą mnie z otwartemi rękoma. Im nawet tak chora, jak jestem, przydam się jeszcze na coś, choćby i na nic, to ulgę im sprawi, że przestałam się męczyć. Larysowie odetchną. Ubędzie im wprawdzie para rąk do pracy, ale i usta do żywienia, grzbiet do odziania, wreszcie Bolek będzie mógł się ożenić z dziewczyną młodą, zdrową, nawet bogatą.

Serce ścisnęło mi się bólem okropnym.

— Nie, nie, nigdy, przenigdy! — zaszlochałam, a po chwili znów spokojnie:

— Przecież nie mogę mu zawiązywać losu, chora, do niczego niezdatna, i coby to była za miłość z mojej strony, trzymać go na uwięzi. Zwrócę mu słowo, niech się postara o rozwód, jest luteraninem, łatwo go dostanie.

Powtarzałam sobie to postanowienie kilka razy, aby dać mu owładnąć mą myślą i wolą, bo z serca

rwał się krzyk buntu. Po chwili cicho, nieśmiało zaszemrała nadzieja:

— On się nie zgodzi, przecież jeszcze mnie kocha, woli ze mną takie nawet życie, niż z inną spokojne i pomyślne.

Jakby przywołany myślą, wszedł do pokoju. Spojrzałam nań z tkliwością. Nigdy nie wydał mi się taki piękny, taki miły, najdroższy, jak w owej chwili, gdy postanowiłam dobrowolnie go utracić. Spojrzał na mnie zdziwiony, że jeszcze jestem w łóżku, i począł szukać czegoś w szafie.

— Bolku — rzekłam, a głos mi drżał — trzeba, abyśmy pomówili poważnie.

— O czemże znowu? — zniecierpliwił się.

Zachłysnęłam się łzami i mówiłam prędko, prędko, aby nie stracić odwagi.

— Przecież tak być dłużej nie może: nie mam już sił do pracy, jestem chora, smutna, bezdzietna, czynię was nieszczęśliwymi — muszę odejść.

Odwrócił się, spojrzał na mnie pogardliwie i zaszydził:

— A więc ci się już sprzykrzyło ciężkie, szare życie w Borowej?

Zacisnęłam dłonie, aby nie wybuchnąć płaczem.

— Nie chodzi mi o mnie, chodzi mi o was, o ciebie głównie. Nie mogłam ci dać szczęścia, ani dziecka, więc odejdę.

Wzruszył ramionami.

— Poco ta próżna gadanina, poco podniecanie słowami tego, co i tak już jest dosyć bolesne? Jestem twoim mężem, przysięgałem, że cię nie opuszczę aż do śmierci, moim obowiązkiem wytrwać, mimo wszystko.

Obowiązkiem! Więc on już tylko przez obowiązek jest moim mężem, nie przez miłość! Reszta nadziei i reszta wahania zniknęła mi z serca.

— To jest obowiązek względem mnie, jeśli jednak ja cię z niego zwalniam, to przez to samo istnieć przestaje.

— Frazes. Nie ty ustanowiłaś małżeństwo i nie ty je zniesiesz. To jest instytucya społeczna, a kto ją gwałci, ma opinię społeczną przeciw sobie.

— Nie warto marnować życia dla opinii, zresztą powierzchownej.

— Niema o czem mówić: jesteś moją żoną i pozostaniesz nią aż do śmierci, choćby ci się nie wiem jak sprzykrzyło.

Wzruszył raz jeszcze ramionami i wyszedł.

Wstałam i ubierałam się bez łez, z sercem znów oschłem, ale zdecydowana przeprowadzić, co postanowiłam, skoro mnie Bolek już nie kocha, skoro tylko przez obowiązek i obawę opinii jest mi wierny.

Spotkaliśmy się dopiero przy obiedzie. Bolek siedział zmarszczony, chmurny, pani Larysowa

jakby zawstydzona. Poznałam, że jej powtórzył naszą rozmowę, więc odrazu zaczęłam:

— Czy Bolek mówił mamie, że mu proponuję rozwód?

— Tak — odparła z oczyma w przestrzeni.

— Prawda, mamo, że to jedyne możliwe wyjście z naszego ciężkiego położenia?

— Kochająca i wierna żona nie opuszcza męża, choćby z nim była nieszczęśliwa — wyrecytowała sucho, bez przekonania.

— O mamo, czyż mama nie rozumie, że to właśnie przez miłość dla Bolka pragnę rozwodu? Nie mogłam mu być ni dzielną pomocnicą w pracy, ni miłą, wesołą towarzyszką życia, ni matką jego dziecka, bez mej winy uczyniłam go nieszczęśliwym. Czyż mam pozwolić, aby był nieszczęśliwy całe życie? Jest młody, może jeszcze znaleźć szczęście, gdy odzyska wolność. Dlatego chcę wrócić do rodziców, a on niech się postara o rozwód.

Milczeli oboje, więc znów zwróciłam się do niej już z rozpaczą:

— Mama, która tak bardzo kochała, chyba pojmuje, że widok nieszczęścia kochanego człowieka jest gorszy ponad wszystko i że, jeśli chcę odejść, to tylko dlatego, że Bolka kocham i że to jest jedyny sposób otwarcia mu drogi do szczęścia. Prawda, mamo?

— Może być — szepnęła z nizko schyloną głową.

Czułam, że siły moje już się wyczerpują, więc wdzięczną jej byłam za skończenie walki i prawie odruchowo podniosłam jej rękę do ust. Przygarnęła mnie do siebie serdecznie pierwszy raz w życiu i rozpłakała się. Bolek wstał i wyszedł. Ucałowawszy rękę świekry, wstałam także:

— Niech mi mama z łaski swojej przygotuje posłańca, to zaraz napiszę do ojca, aby po mnie przyjechał.

Spakowanie mych osobistych rzeczy niewiele mi zajęło czasu. Domowe, wniesione w posagu, zostawiałam do uznania Bolka: mnie już nie były potrzebne, a jemu mogły się przydać i byłabym rada, gdyby mu służyły, skoro mnie nie stanie.

Ojciec przyjechał, gdyśmy siedzieli przy kolacyi.

— Pójdę się ubrać i zaraz pójdziemy — rzekłam.

— Niech państwo zjedzą kolacyę — prosiła nieśmiało pani Larysowa.

— Jeśli Aneczka gotowa, to pani pozwoli, że pojedziemy — odparł ojciec — żona chora i nie chciałbym jej długo zostawiać samej.

Pożegnaliśmy się bez słowa, spokojnie, jakbym wyjeżdżała do rodziców w odwiedziny. W drodze milczałam, aby się nie rozpłakać. Ojciec też nic

nie mówił. Dopiero, gdyśmy dojeżdżali do domu, rzekł:

— Mama dostała ze zmartwienia ataku wątrobianego i leży w łóżku. Jeśli nie czujesz się dzisiaj na siłach do zniesienia jej wybuchów, to przywitaj się tylko i idź do swego pokoju.

— Nie, nie, owszem, jestem dosyć silna, a lepiej przejść odrazu przez wszystko.

Gdyśmy weszli do sieni, otworzyły się drzwi od jadalni i stanęła w nich mama.

— Wstałaś? — zaniepokoił się ojciec.

— Nie mogę myśleć o sobie, gdy Aneczka taka nieszczęśliwa — rzekła z wymówką i wyciągnęła do mnie ręce. Pochyliłam się ku nim. Przytuliła mnie silnie, jak kiedyś dawno, dawno, gdy jeszcze byłam dzieckiem, i wybuchnęła z przejmującym bólem:

— Dziecko moje, skrzywdzili cię, wypędzili!

— Nie, nie, mamo — zaprzeczyłam — odeszłam sama.

— Aneczka potrzebuje teraz wiele spokoju — zauważył ojciec.

— Tak, tak, masz słuszność — przyświadczyła i znów przygarnęła mnie do siebie. — Moje biedne, biedne dziecko!

Powiodła mnie do jadalni i już ni tego wieczoru, ni dni następnych, ni później, nigdy nie mówiła ze mną o mojem nieszczęściu. Pierwszy

miesiąc przeleżałam w łóżku na rozkaz ojca. Mama nie opuszczała mnie całymi dniami. Otaczała mnie troskliwością, zdobywała się na spokój, nawet wesołość, wobec mego nieszczęścia, zapominała o swojem. Z szybkiem, a równem poruszaniem rąk, w których ciągle trzymała drutową robotę, gawędziła ze mną o Jani, Stefku, opowiadała drobne zdarzenia z naszego dzieciństwa, ze swego pożycia z ojcem. Ten ruch dłoni i ten głos spokojny, życzliwy, uciszały we mnie huragan rozpaczliwych myśli, rozdzierających uczuć. Wypoczynek wracał mi siły i powoli, powoli poczynałam się godzić z życiem, które wydało mi się z początku już zatrute na zawsze i aż do dna.

Często przychodził ojciec, przynosił mi gazety, książki, starał się rozmową obudzić dawne zainteresowania i upodobania treści ogólnej. Po pierwszych dniach przygnębienia wrócił do swego żartobliwego tonu, do pogodnego traktowania życia.

Umęczona, obolała, wtulałam się w ciepło i zaciszność otaczającej mnie atmosfery, jak zgoniony zając w rodzinną kotlinkę, i nieraz wśród tych dwojga kochających, najwierniejszych ludzi, pod ojcowskim dachem traciłam poczucie swego nieszczęścia. Wydawało mi się ono, jak sen bolesny, a miniony.

Nie mogę pisać, sił brak. A szkoda! Jeszcze tyle wspomnień...
